Nr. 167. Lwów. — Wtorek dnia 23 lipca Rok 1889.

Wychodzi codziennie z wyjątkiem dni poświątecznych.

Cena prenumeraty:

We Lwowie bez dostawy:	Na prowincji z przesyłką pocztową
Miesięcznie — zł. 75 ct.	Miesięcznie 1 zł.
Kwartalnie 2 „ 25 „	Kwartalnie 3 „
Półrocznie 4 „ 50 „	Półrocznie 6 „
Rocznie 9 „ — „	Rocznie . 12 „

Za dostawę do domu miesięcznie 25 ct.

Numer kosztuje 4 centy.

Prenumeratę z dostawą do domu we Lwowie należy składać w Biurze Dzienników, ul. Karola Ludwika Nr. 9.

Prenumerata tak miejscowa jak i zamiejscowa winna się kończyć z końcem miesiąca, kwartału, półrocza lub roku. Innej się nie przyjmuje.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

Z zamiejscową prenumeratą zgłaszać się należy do Administracji „PRZEGLĄDU" we Lwowie, przy ul. Sykstuskiej l. 45. Zmiana zamiejscowej prenumeraty na miejscową i odwrotnie jest niedopuszczalna.

Upraszа się prenumeratę przysyłać przekazami pocztowemi, a nie w kopertach. Osoby przysyłające pieniądze w kopertach raczą dopłacać po 5 ct. do każdego listu.

Miejscową prenum. we Lwowie przyjmują:

Trafika J. Ważnego, przy ulicy Czarnieckiego liczba 2. — Trafika przy ulicy Karola Ludwika liczba 5. — Trafika przy ul. Ossolińskich (obok Łazienek Diany) — Biuro Dzienników, przy ul. Karola Ludwika liczba 9.

Rękopismów Redakcja nie zwraca.

Dziś: Apolinarego bisk. Jutro: Krystyny panny. | Adres Redakcji i Administracji: ulica Sykstuska l. 45. | Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski. | Wschód słońca g. 4 m. 29, Zachód „ 7 „ 39 | Długość dnia g. 15 m. 10, Ubyło dnia 2 min.

Przegląd polityczny.

Lwów 22 lipca.

Najgłówniejsze pisma wiedeńskie, berlińskie i paryskie zamieściły w swych niedzielnych numerach telegramy z Warszawy, donoszące, że *Kurjer Warszawski* otrzymał z Rzymu dokładną osnowę konwencji militarnej zawartej między Niemcami a Włochami. W niektórych z tych pism telegramy były nawet dość obszerne, opisujące ową konwencję według tego brzmienia, jakie miał podawać *Kurjer Warszawski*. Owóż dzisiaj mamy przed sobą ten numer *Kurjera Warszawskiego*, w którym się znajduje wspomniana korespondencja rzymska, jednakże możemy tyle tylko oświadczyć po przeczytaniu jej, że nie robi na nas wrażenia, aby jej autor czytał tekst konwencji militarnej, zawartej w istocie między Włochami a Niemcami. Każe bowiem wojskom włoskim przechodzić przez Austrję, przez Brenner i kooperować z armją niemiecką operującą na Strassburg. Tym sposobem klucz całego sojuszu niemiecko-włoskiego składa w ręce Austrji i od jej woli czyni zależnem, czy Włochy będą mogły, czy też nie, pomagać Niemcom. Owóż jest jasnem, że taka konwencja nie mogłaby być zawarta tylko między Włochami i Niemcami, lecz musiałaby być zawarta równocześnie między Włochami, Niemcami i Austrją, skoro od woli Austrji zależy czy ona wejdzie lub nie w życie. Tymczasem autor korespondencji rzymskiej w *Kurjerze Warszawskim* twierdzi, że tylko tekst tej konwencji zakomunikowano Austrji, a dano go jej dla tego do poznania, że ona nietylko ma dać Włochom pozwolenie na przejście przez swoje terytorja, ale nadto „ma uprzednio wszelkie środki przygotować dla przewozu wojsk włoskich, i to najpierw w kierunku Werony."

No, przecież są to wolne żarty, a raczej dyletantyzm polityczny. Bo jakże: — Austrja ma pozwolić wojskom włoskim przechodzić przez swoje terytorjum i na to nie ma mieć żadnego traktatu, ani umowy, ile tych wojsk będzie przechodziło, jakiemi partjami, czy z amunicją, czy bez, gdzie będą i jak długo popasy, kto będzie miał nad niemi kontrolę, kto będzie strzegł ludności miejscowej od nadużyć tego wojska, kto ma dostarczyć żywności etc. etc.? Autor owej rzymskiej korespondencji nie ma wyobrażenia, co to znaczy przechód wojsk przez terytorjum obce, skoro tak po dyletancku rzecz traktuje.

Są zresztą w tej korespondencji rzymskiej jeszcze inne błędy i usterki. Brak nam miejsca, aby ją dzisiaj przedrukować. Podamy więc ją jutro, a czytelnicy sami osądzą, że nie jest to rzecz oparta na rzetelnych i źródłowych informacjach.

Prasa berlińska, a także i angielska, dużo w ostatnich paru tygodniach mówiła o tem, że Turcja przystąpiła do potrójnego przymierza. Niektóre pisma, jak np. *Kreuz Ztg*, twierdziły o tem z taką stanowczością, że mimowolnie rodziło się w umyśle zdziwienie, dlaczego kredyt Turcji nie wzrósł w skutek tego ani o jotę na giełdach? Dlaczego? — Oto dlatego, że całe to doniesienie jest, jak nam donoszą z Wiednia, przedwczesnem i lubo nie jest rzeczą wykluczoną, że Turcja w tych kłopotach, w jakich się teraz znajduje z powodu rozruchów na Krecie, będzie się starała o zbliżenie do mocarstw tworzących ligę pokojową, przecież ani do ich sojuszu nie wstąpiła, ani też prawdobodobnie nie byłaby przez nie z otwartemi ramionami przyjęta.

Przedewszystkiem jednak podnieść wypada, że w ostatnich nietylko kilku tygodniach ale nawet kilku miesiącach, nie było w sferach dyplomatycznych Europy żadnego wybitnego ruchu. A niezawodnie ruch taki byłby widocznym, gdyby się tworzył nowy akt międzynarodowy. Odbywałyby się podróże specjalnych wysłanników i spadłby deszcz orderów — a tu tymczasem panowała cisza.

Nadto, prawdę mówiąc, Turcja w danej chwili nie jest ponętnym sojusznikiem. Armją swą rozstrojoną, głodną, źle wyekwipowaną, zaopatrzoną w broń starą, nie pomnożyłaby wielce sił pokojowej ligi, a nałożyłaby w każdym razie na tę ligę pewne zobowiązania, któreby ją krępowały. Reguła powiada, że słabszy wchodząc na równych prawach w sojusz z mocniejszym, część jego siły sobie przyswaja, a jeżeli tak, to przystąpienie Turcji do potrójnego przymierza nie podniosłoby, ale rozstrzeliłoby siły tego przymierza i nakazałoby mu niemal tym samym zasobem wojska i środków pieniężnych bronić o wiele więcej interesów politycznych i na większym obszarze Europy.

Stąd też przypuszczamy, że jeżeli dotąd Turcja nie była członkiem ligi pokojowej, to nie dla tego, iżby ona nie chciała nim być, jeno dla tego, że jej na równych prawach do tego przymierza przyjąć nie chciano. Postąpiono więc z nią zapewne mniej więcej tak samo jak z Anglją, której niedwuznacznie odpowiedziano swojego czasu z Berlina, że dobrze, ale pod warunkiem, że Anglja zaprowadzi wprzódy u siebie powszechną służbę wojskową.

Jednakże w tych zapewnieniach *Kreutz Ztg.*, a teraz i *Timesa*, iż Turcja weszła już w skład ligi, tkwi może jakie zdziebełko prawdy. Ale jakie? Oto chyba to, że spełzły na niczem zabiegi Rosji, aby nakłonić sułtana do powzięcia jakiejś nieprzyjaznej inicjatywy przeciw Bułgarji. Wiadomo, że Osman basza, słynny bohater z pod Plewny, jest teraz stałym adwokatem rosyjskim w radzie koronnej Padyszacha. Oprócz niego pozyskała sobie Rosja jeszcze kilku innych wpływowych baszów. Przez nich starała się ona Turcję skłonić do wystąpienia przeciw „nielegalnemu" pobytowi ks. Koburskiego w Bułgarji. Tymczasem zabiegi te carskiego rządu spotykały się ciągle z rozmaitemi nader zręcznemi wybiegami Porty, która z wschodnią przebiegłością umiała zawsze jakiś pretekst wynaleść, aby rzecz odwlec.

Owóż być może, że to przeważyło u Porty przekonanie, że w żadnym razie nie należy dać posłuchu radom rosyjskim, lecz owszem wypada wobec Bułgarji zająć to przychylne stanowisko, które nakreśliła mowa tronowa austrjacka. I tu prawdopodobnie tkwi powód, dla czego przypuszczano, że Turcja weszła już w skład ligi, podczas gdy według tych informacji, jakie my otrzymujemy, do ligi ona nie należy, lecz zajmuje tylko to rozsądne i bezinteresowne stanowisko, które zajmuje Austrja, a więc i liga, wobec półwyspu bałkańskiego.

Norddeutsche Allgemeine Ztg. bardzo rozsądnie ocenia tę ostatnią walną kampanję, jaką rząd republikański wytoczył przeciw Boulangerowi. „Francuski trybunał państwowy — pisze organ Bismarka — oskarża jenerała Boulangera o zamach stanu, spisek i sprzeniewierzenie. Widzimy więc we Francji dwa stronnictwa które na noże walczą ze sobą, a ich przewódzcy wzajemnie najwyraźniej oskarżają się o złodziejstwo. Obecne ministerjum oskarża pretendenta plebiscytarnego o sprzeniewierzenie, a znowu Boulanger i Rochefort w swych mowach programowych zarzucają całemu ministerjum francuskiemu, szczególniej zaś członkom jego Thévenetowi, Rouvierowi, Constansowi oszustwo, przedajność i gonienie za nieprawemi zyskami. Wybory wkrótce odbyć się mające rozstrzygną, komu lud słuszność przyzna. W k a ż d y m r a z i e, k t o k o l w i e k z t e g o s p o r u w y j d z i e z w y c i ę z c ą, z a w s z e w o c z a c h m n i e j s z o ś c i i t o z n a c z n e j u c h o d z i ć b ę d z i e z a p o d e j r z a n e g o, a cień ciężący na jego honorze udzielić się także musi urzędowi, który będzie piastował.

„Owóż gdy stronnictwa i ich przywódzcy szarpią się i obrzucają błotem wzajemnie, to musi to zachwiać moralność społeczeństwa i podstawy porządku państwowego.

Lecz to wszystko nie przeszkadza temu, że ci, którzy dążą głównie do usunięcia istniejącej formy rządu i jego reprezentantów grają rolę obrońców i mścicieli publicznej moralności, którą przeciwnicy ich mieli bardzo obrazić.

Ale i rzeczpospolita nietylko nie ziściła nadziei, jakie przywiązywali do niej zagorzali jej zwolennicy, lecz nie odpowiedziała nawet najskromniejszym oczekiwaniom. To też nawet każdy republikanin z przekonania nie może zaprzeczyć, że rząd rzeczypospolitej ułatwił przeciwnikom działanie w myśl zasady *avilir et puis détruire*. (Oszkalować naprzód, a potem zniszczyć)."

Jak na organ ks. kanclerza Niemiec, który przecież nie mało pracował nad tem, aby we Francji była rzeczpospolita i który z gadzinowego funduszu niejeden miljon już wydał, a niejeden jeszcze wyda, aby właśnie jak najdłużej republikańska forma rządu, czyli bezrząd, panował we Francji, jest to wyznanie dość oryginalne i rozsądne. Jednakże niech nikt nie sądzi, żeby Bismarka to bolało, iż we Francji przez wzajemne szkalowanie się i podejrzywanie o złodziejstwo, osłabiona została wszelka powaga władzy. Jeżeli bowiem kto, to tylko on, a raczej cesarstwo niemieckie odnosi z tego pożytek, a im bardziej i niżej będzie upadała Francja, im większa w niej będzie anarchja i im mniejsze znaczenie rządu, tem swobodniej będzie oddychał rząd niemiecki i tem wyżej będzie rosło jego znaczenie w koncercie mocarstw europejskich. To też można to śmiało jako regułę polityczną postawić, że kto pracuje nad wprowadzeniem rozstroju w swój naród i nad zniszczeniem w nim karności, ten jest zawsze i wszędzie sługą jego nieprzyjaciół, — mniejsza o to płatnym czy bezpłatnym.

Cesarz niemiecki posłał carowi prezent: portret swój w naturalnej wielkości. Tem dał niejako do poznania, że wcale nie czuje się obrażonym, iż mu car dotychczas wizyty nie złożył. Prasa niemiecka kładąc na to nacisk upomina formalnie cara, ażeby nie zapominał o należnych względach grzeczności.

Najgorliwiej pracuje w tym kierunku *Gazeta Kolońska*. Pisze ona: „Na jak wielkie dzięki i uznanie całego świata zasłużyłby sobie car, gdyby wkrótce oddał cesarzowi wizytę i tem dał publiczny i niedwuznaczny dowód, że zależy mu na utrzymaniu pokoju. Gdyby był choć w króciutkim liście podał powody zwłoki, albo gdyby był upoważnił syna swego, następcę tronu, w przejeździe przez Berlin, usprawiedliwić tę długą zwłokę, w takim razie byłaby opinja publiczna w zwłoce tej nie upatrywała nic niepojętego lub nadzwyczajnego. Lecz zamiast tego wszystkiego milczy car i to już od roku. W tych dniach powrócił car do Gatczyny, gdzie zabawi cztery tygodnie, poczem do Danji się udaje. Teraz zatem będzie się car musiał zdecydować i ciekawi jesteśmy bardzo, czy skorzysta z tej sposobności i złoży wizytę cesarzowi Wilhelmowi podczas podróży swej do Danji albo z powrotem."

Inne dzienniki niemieckie omawiają tę sprawę w tym samym duchu.

Lamenta te prasy niemieckiej odniosły może pewien skutek, jeżeli wierzyć mamy doniesieniom z Berlina, że car przyjedzie do stolicy Niemiec 21 albo 22 sierpnia.

Korespondencje.

Z podhajeckiego w lipcu.

Od dłuższego czasu nic nie pisałem, bo cóż pisać o tem, że nam jest bardzo źle. Mieszkam w powiecie podhajeckim. Powiat ten jest bardzo a bardzo w tym roku nieurodzajem nawidzony. Dosyć powiedzieć, że w tej miejscowości opad deszczu tegoroczny wyniósł zaledwie dziesięć milimetrów, jest to za mało do wegitacji, a nie zapobiega wyschnięciu, spaleniu wszystkich zbóż i traw, to też tak się stało. Otóż co panowi — to Iwanowi, przeto reprezentanci wybrani do Wys. Sejmu, a specjalnie Wny p. Damian Sawczak, jako reprezentant mniejszej posiadłości, powinien stanąć w obronie tutejszego powiatu i wziąć go w opiekę, a to: wstrzymać egzekucje podatkowe, aby nie grabiono ostatniej poduszki za zaległy podatek, wyjednać opust podatku, gdyż jest to klęska elementarna, dalej postarać się o wstrzymanie wszelkich budowli kościelno-cerkiewnych i szkół, w tym roku okropnym, wreszcie postarać się o zniżkę na kolejach, w celu przewozu słomy i siana w stanie prasowanym, z okolic gdzie się urodziło. Należy także podnieść, że powiat tutejszy nie ma żadnej drogi k r a j o w e j, tylko powiatowe i gminne, a o rządowej ukośnej nawet wspominać nie warto, gdyż chyba próżny wóz pocztowy nią jedzie. Zdaje mi się, że to jedyny powiat, w którym drogi krajowej nie ma, zatem budowa takiej drogi jest konieczną, ażeby ludności dać możność zarobku.

Ażeby dać małą illustrację braku paszy — podam, że w dniu 17 lipca, na jarmarku w Bołszowcu, sprzedawano krowy po 5 zł. i nikt kupić nie chciał a tak samo konie chłopskie po 1 zł. a łoszaki po 50 ct, niemniej sprzedających owce i świnie było tysiące, a kupujących nie było.

Rezultatem tego będzie: 1) wyniszczenie inwentarzy dobytkowych i roboczych, 2) brak nawozu, który się da odczuć długie lata, 3) brak inwentarzy roboczych do obrobienia pola, zatem nieobsianie pola, albo zrobienie obsiewów w porze nieodpowiedniej, a w dalszem następstwie znowu nieurodzaj.

Dziś już po zbiorach oziminy. Pożal się Boże takich zbiorów, prawie wszystko skoszono, a wiele bardzo zgromadzono w kopicy. Sam zbiór zaś wypadł jak najgorzej, bo w skutek posuchy, słoma jest czystą, zboże rzadziutkie, to też wymykało się z pod kosy i grabiami zgromadzić się nie dało.

Ażeby jako tako zebrać, ludzie na kolanach klęcząc, wyrywali z korzeniem pszenicę, wysoką na 12 cali. Co do paszy to rzecz okropnie się przedstawia, ledwo odrosłszy od ziemi usycha, bo 30 R. jest w stanie spalić wszystko, a z każdym dniem jest gorzej.

Europejskie rynki zbożowe zasypią producenci z Ameryki, z Rosji, z Indji, a nawet z Australji, lecz w kraju naszym biednym, ludność będzie cierpiała głód, a stan bydła zniży się do połowy, albo i do czwartej części. Straszny to stan, a jeszcze straszniejsze aspekta, bo powtarzam: „co panowi — to Iwanowi... jedna zemlia nas kormyła." Dawniej pan dawał zarobek we dworze, dziś nie ma go, wszelkie roboty ustają. Do Was zatem Wni reprezentanci powiatu, odzywam się — nie jest to mój głos, lecz są to prośby ogółu — starajcie się tej nędzy zapobiedz, starajcie się o fundusze na budowy gościńców, kanalizacji i t. p. robót, aby ludność miała zarobek.

Chłop nasz ruski przyjmuje to nieszczęście z rezygnacją, tak „Boh dał — tra pryjmaty", a że jest zabobonny i ciemny, daje posłuch różnym baśniom i bredniom. I tak rozeszło się między ludem i z tym przychodzili do mnie że koło Brześcia „z e m l u k i d a j e" czcywista że „d i t k o k i d a j e". Mądry Dmytro Hor... exdiak, a obecnie handlarz świń, człowiek zatem światowy (sic) takie rzeczy rozpowiadał we wsi. Oczywista, że nabrawszy go z góry, wyśmiałem należycie. Lecz tuż zaraz na drugi dzień nowe doszły wieści: „Proszu Pana, bude komisja na cmentari w Podhajciach." A toż po co? — pytam — A no tak: iszoł bojko (chłop z gór) i kazał szczo u was tak dołho doszczu ne bude, aż toho szczo w chodakach pochowały (lud nasz chowa się owijając nogi szmatami z oszczędności) nie dobudete zhrobu, tra mu hołowu sokieru odrubaty i pod pachu ułożyty, a sercie osykowym kołem probyty, aż krow pijde, bo win je upir, doszczu nie puskaje". A gdzież są pierwsze zasady naszej wiary?! Podam jeszcze trzeci fakt, świadczący o mądrości tych, którzy lud pouczać mają. Murowałem stajnię, a ponieważ deszczu nie było, córki księdza gr. kat. ze sąsiedniej wsi, robiły mnie wymówki, że to moja wina, że deszczu nie ma, bo mularze zamurowali deszcz?!

No, ale za to o polityce niby to prawią i przed cerkwią i w cerkwi i wszędzie: „newyberajte Paniw, bo Pany chotiat zaprowadyty pańszczyznu, bo Pany to worohy" itp. brednie. Lecz Pan Bóg cierpliwy, ale sprawiedliwy. A kto sieje wiatr, zbiera burzę.

Niedawno był tu wypadek taki: chłop opój utopił się nieumyślnie, a paroch przeprowadziwszy długi targ z wdową pochował topielca z paradą na cmentarzu, wziąwszy za to 15 czy 20 zł. od wdowy. Lud szemrał na to — mówiąc: — bude bida. Wypadek zrządził, że 3 dnia grad wytłukł to nędzne zboże i winę przypisano księdzu „bo ne tra buło chowaty".

Smutno, że taka u nas jeszcze panuje ciemnota!

Nasze czy obce żywioły.

„... **A wiedy nie będziemy potrzebowali obawiać się żadnych ...stocków, ...blumów, ani ...bergów.**"

Oto słowa, któremi młody ale już dobrze zasłużony pracownik na niwie spraw społecznych, dr. Witold Lewicki, kończy ostatnią swoję pracę pod tytułem, który wypisaliśmy w nagłówku.

W niej wykazał autor, na tle sumiennie zebranych i umiejętnie zszeregowanych dat statystycznych, wzrost gwałtowny żywiołu żydowskiego w Galicji, jego znaczne a w nagłej progresji wzmagające się rozplenianie i coraz szersze zdobywanie dla siebie naszej ziemi.

Wykazał więc cyframi ile możności dokładnemi, że żywioł żydowski od czasu nadania mu swobód konstytucyjnych tak chyżo wzrasta liczebnie, że przy spisie ludności w rok 1889 dosięgnie on prawdopodobnie cyfry 800.000 głów, owóż stanowić będzie 12 procent ogólnego zaludnienia Galicji.

Równocześnie żywioł ten — ograniczony dawniej ustawami krajowemi do zamieszkiwania jedynie miast i miasteczek, a nawet tylko niektórych w nich dzielnic—odzyskawszy swobodę ruchu rozlewa się szeroko po całym kraju, i zdobywszy prawo posiadania ziemi tak chętny robi z niego użytek, że w niespełna trzydziestu latach zakupuje on 513 większych posiadłości z 400.000 mrg. ziemi i przeszło 100.000 morgów z gruntów włościańskich.

Równouprawnienie otwiera żydom naoścież szczelnie dotąd zawarte podwoje do wszystkich zawodów pracy umysłowej i fizycznej, nadaje im obok równych obowiązków równe prawa społeczne. Pierwsze omijają oni starannie, ale z drugich korzystają skwapliwie; więc gromadnie garną się do zawodów pracy dotąd im wzbronionych a ponętnych swoją zyskownością. Tłumnie cisną się przed skąpo w naszym kraju zastawione stoły materjalnych korzyści i wszędy występują wobec krajowców jako współzawodnik groźny, bo nieprzebierający w środkach ku zwalczaniu konkurencji a nawykły pracować znojnie i długo, byle z lepszemi widokami na przyszłość.

Taki obraz przedstawia autor oczom czytelnika. Przedstawia go jako przewrot w normalnym ustroju naszego społeczeństwa już dokonany; ale owa „kwestja żydowska" — na której rozwiązanie nie stać było najtęższych mężów stanu Polski, a do czego rwali się olbrzymi i karły na duchu — nie staje przed autorem w formie nierozwiązalnego zrównania społecznego. Nie lekceważy on wprawdzie trudności, liczy się z tem, że przenarodowienie plemienia przez wieki wykluczonego z naszej społeczności nie da się przeprowadzić pospiesznie; ale wierzy, że proces przyswojenia, zwolna obejmując wszystkie warstwy społeczeństwa żydowskiego od najwyższej do najniższej, skończy się zupełnem wsiąknięciem jego w społeczeństwo nasze. —

W tej mierze umacniają autora własne jego spostrzeżenia.

Widzi on, że żydzi w niesłychanie krótkim czasie z pogardzanego, nieuprawnionego i bezwpływowego gminu przekształcili się w społeczeństwo o najrozmaitszych warstwach wytwórczych i ochronnych; że wychodzą zwolna z zaczarowanego koła wyłączności plemiennej, a wchodzą w bezpośrednią styczność z otaczającym ich narodem. Więc uczą się jego języka, poznają i uczą się cenić tego narodu cnoty i obyczaje, przyswajają sobie jego zwyczaje i nawyknienia, aż wkońcu — przywłaszczywszy sobie jego kulturne i cywiliza-

---

114)

W walce z losem.

POWIEŚĆ W TRZECH TOMACH.

Przez

Jerzego Myriela.

(Ciąg dalszy).

Pozostała tylko ciemność, samotność i pustka.

Ale nie! Nagle obraz zmienia się. Wśród ciemności błyska jakiś promyczek. Rozłamuje się na dwa, trzy, dziesięć, sto promieni. Już jest cały snop światła! Promienie te łączą się ze sobą, zlewają w jedną falę złocistą, która zapełnia cały świat.

Stara katedra gotycka zniknęła, natomiast jest las niebotyczny, pełen zieleni, świeżości i zapachu.

Rozłożyste odwieczne dęby tworzą sklepienie, przez które przedziera się światło słoneczne, u stóp drzew olbrzymich strumień się wije, a nad jego brzegami, wśród miękkiej murawy szczodra dłoń przyrody rozsypała miljony kwiatów leśnych.

W śród tego lasu, wśród paproci i mchów, wije się wązka drożyna. I zdaje się Skalskiemu, że po tej drożynie stąpa i spieszy. Drożyna rozgałęzia się, wije, z innemi drożkami łączy, tak, że zbłądzić na niej łatwo, lecz on nie zważa na to. Zna doskonale ten las; dzieckiem jeszcze w nim bywał, jako młody chłopiec, ongi, biegał z fuzyjką pod jego zielonem sklepieniem.

Idzie szybko, spieszy, bo zdaje mu się, że ktoś oczekuje na niego.

Las się kończy, drzewa coraz rzadsze, widać już szerokie pola i łąki. Niedaleko czernieją dachy zabudowań. Stary dwór murowany widać, a na ganku stoi jakaś wysmukła postać.

To Irma, a raczej nie Irma i nie aktorka— ale Iza, pani tego domu i pól przyległych i lasu. Iza wyrwana ze świata, z teatru, z wielkiego miasta i przeniesiona tu w ciche wiejskie ustronie. Już tłumy na nią nie patrzą, nie ogłuszają jej oklaskami, nie obsypują kwieciem. Nie dba już o nie, zerwała z niemi stanowczo i na zawsze. Nad oklaski i tryumfy przeniosła jedno życzliwe serce — i oto jest teraz w ustroniu wiejskiem, wśród balsamicznych lasów, malowniczych pól.

Ku nadchodzącemu wyciąga białe rączki — wita go uśmiechem. On bierze ją pod rękę, wprowadza do wnętrza starego domu. Nie pałac to, nie zamek, ale domostwo stare, co już wiele wieków pamięta. Kilkanaście pokoleń wychowało się i wyrosło pod tym dachem porosłym mchem i pleśnią, wśród murów poszczerbionych. W jednej z komnat tego dworu, w której z dawnych jeszcze czasów przechował się wielki stół dębowy, i ławy rzeźbione misternie, wiszą dwa szeregi portretów. Dziwne, niedzisiejsze postacie patrzą z tych poczerniałych od starości płócien. Mężczyźni o marsowatym, groźnym wyrazie twarzy, z wąsami nastroszonemi, zakuci w żelazo, — kobiety w osobliwszych strojach, po większej części ubrane jak mniszki.

Zdaje się Skalskiemu, że z młodą, piękną żoną, wchodzi do tej komnaty, a na starych portretach mężczyźni groźniej niż zwykle brwi marszczą, kobiety spoglądają ponuro...

Dreszcz go przechodzi.

Ktoś wszedł do pokoju, przebudził go i wrócił do rzeczywistości.

Był to człowiek przysłany przez Rózię z wiadomością, że doktorzy już przyszli.

Skalski zerwał się na równe nogi — i pobiegł do mieszkania Irmy.

Rozdział piąty, opisujący chwile rekonwalescencji, zmiany opinji, tudzież opowiadający treść pewnego listu.

Ostatecznie stary Bromirski zwyciężył. Czy uczynił to on, czy konsyljum, czy, co najprawdopodobniejsze, młoda i silna natura Izy — dość że zwycięztwo było pewne, niezaprzeczone, gdyż będąca pomiędzy życiem a śmiercią pacjentka, powróciła do przytomności, zaczęła poznawać Rózię, Lekcińską, starego doktora, zaczęła mówić o sztuce, o teatrze, a nawet tak dalece interesowała się życiem, światem i teatrem, że żądała gazet i prosiła Lekcińskiej, aby je głośno czytała.

Bromirski był w siódmem niebie. Wyleczył córkę przyjaciela, którego pamięć czcił i głęboko chował w swojem poczciwem sercu — a przytem zjednał sobie wielki rozgłos. Bądź co bądź, leczyć pacjentkę, na którą całe miasto ma zwrócone oczy, o której stan dopytywała się cała publiczność, o której najdrobniejsze wiadomości zbierali nurkujący po sieniach, schodach i kuchniach reporterowie pism brukowych — to nie bagatela. Pisano o Irmie, o jej chorobie, z konieczności więc pisać musiano i o doktorze, który głównie kurację prowadził — i skutkiem tego poczciwy lekarz przedmieść i dobroczyńca ubóstwa, ani nie spostrzegł, jak przed jego dom zaczęły zajeżdżać karety i jak zaczęto go wzywać do takich pacjentów, którym nietylko że nie potrzebował dawać na lekarstwa i na pożywną strawę, ale od których otrzymywał jeszcze wcale pokaźne honorarja, honorarja takie, jakich za czasów swojej praktyki wcale nie widywał.

Co prawda, ten ostatni wzgląd nie tyle go cieszył — ile fakt, że uratował od śmierci córkę dawnego przyjaciela i znakomitą artystkę.

Widząc Izę powracającą do zdrowia cieszył się tak, jak gdyby własne dziecko od śmierci uratował, a na pessymistyczne uwagi jednego z profesorów, przyjmującego udział w konsyljum, odpowiadał słowami oburzenia.

Profesor ów twierdził, że na tem nie koniec choroby pięknej Irmy, że widzi początki jakiegoś cierpienia, które bardzo łatwo w suchoty gardlane przejść może, ale Bromirski wierzyć nie chciał i myśl tę z oburzeniem odpychał.

W dodatku, ów profesor był młody, a starzy w ogóle lekceważąco zdania młodych traktują, ufając więcej doświadczeniu własnemu i praktyce.

Wyniknęła stąd nawet dość gorąca sprzeczka, w której stary praktyk kilka gorzkich uwag pod adresem młodych wypowiedział. Młody spolitykował, inni członkowie konsyljum powstrzymali się od wypowiedzenia stanowczego zdania — stary Bromirski tryumfował.

— Nic się pan nie bój—mówił do Skalskiego— złe minęło; teraz nasza pacjentka szybko zacznie przychodzić do siebie.

— Więc nareszcie będę ją mógł zobaczyć?!

— Powiadam ci, że za miesiąc, no, najdalej za dwa będziesz się pan mógł z nią ożenić — i naturalnie, będziesz na nią patrzył aż do śmierci, albo też do dnia, w którym otrzymacie rozwód.

— Co też doktór mówi!

— Ano, tak mówię jak jest. Małżeństwo ma dwojakie zakończenie, właściwie nawet trojakie, to jest: śmierć, rozwód lub rozłączenie się dobrowolne. Pan w swoję stronę, pani w swoję i na tem koniec sielanki.

— Ależ, panie doktorze, mówmy poważnie.

— Najpoważniej w świecie.

— Widzisz pan, że ja szaleję, że usycham z tęsknoty, że pragnę ją choćby na chwileczkę zobaczyć. Pozwól mi pan nareszcie!

— Teraz i owszem. Możesz pan ją widzieć. Nie mam nic przeciwko temu.

— Więc mogę tam wejść?

— Jeżeli pacjentka, a raczej rekonwalescentka pozwoli — to i owszem.

Skalski natychmiast posłał Rózię z zapytaniem.

Pozwolono mu wejść. Stary doktór wyszedł, pani Lekcińska usunęła się dyskretnie, narzeczeni zostali sami.

Skalski pochwycił rękę Izy i namiętnie do ust przycisnął — a ręka ta była wychudła, dziwnie biała, prawie przezroczysta.

— Irmo... pani — mówił z drżeniem w głosie — przecież przychodzisz do siebie! Prawie z tamtego świata powracasz, śmierci wydarta.

— Kto wie co lepsze? — odpowiedziała smutnie.

— O nie mów tak! nie bluźnij, stworzona jesteś do szczęścia i będziesz szczęśliwa. Zapomnisz o wszystkich cierpieniach, smutne wspomnienia wyrzucisz na zawsze z pamięci.

(C. d. n.)

cyjne zdobycze — złączą się z tym narodem w jednolitą całość organiczną.

W optymizmie — łatwym do przebaczenia młodemu autorowi — widzi on już początki takiego przeobrażenia, i wierzy temu chętnie, że proces przyswojenia odbył się już na razie tam, gdzie go warunki życia umożliwiły; że więc dosięgnął on warstw żydowskich ekonomicznie i moralnie najwyżej wzniesionych.

W tym optymizmie idzie autor jeszcze dalej, bo każe nam wierzyć, że „inne, niższe umysłowo, nieprzygotowane a moralnie zaniedbane warstwy społeczeństwa żydowskiego z upragnieniem oczekują tej chwili, rychłoli inteligencja z ich i z naszego obozu zrozumie nagłość potrzeby jak najszybszego wyprowadzenia ich z domu niewoli i kraju ciemnoty".

Autor jest tak silnie przekonany o prawdziwości własnych zapatrywań, że — jak sam powiada — „dowodów po temu nie potrzebuje przytaczać, bo samo życie i baczne spostrzeżenie i rozglądanie się na około przekona wątpiących".

Bylibyśmy wprawdzie w zupełnem prawie żądać od autora podania tych dowodów, lecz chętnie wierzymy mu na słowo, że na pewną, zapewne mniejszą cześć swoich spostrzeżeń, mógłby on ich dostarczyć, ale i w tym wypadku, jak zwykle *pars pro toto* nie da dostatecznego dowodu, aby już teraz te wartswy żydowskiego społeczeństwa, które po nad inne wzniosły się ekonomicznie i moralnie, zlały się całkowicie z naszym narodem, a już chyba trzeba patrzeć przez bardzo różowe szkło niezawiedzionej w nadziejach młodości, aby uwierzyć, że ciemne masy zabobonnego żydowstwa już teraz łakną i pożądają rdzennego połączenie się z nami.

Dowodu, że spolszczenie żywiołu żydowskiego postępuje raźnym krokiem, dopatruje autor w tem, że ostatni spis ludności z r. 1889 w stosunku do dawniejszych spisów wykazał znaczny ubytek ludności przyznającej się używania niemieckiego języka, sądzi przeto, że „cyfry zmniejszającej się ludności z niemieckim językiem domowym są cyframi postępującej asymilacji żydów". Owóż — zdaniem naszem — w tem twierdzeniu jest tylko połowa prawdy, bo najpierw zaprzeczyć się nie da, że ubytek w naszym kraju ludności istotnie niemieckiej powstał w skutek jej spolszczenia, a powtóre ostatni spis ludności, przeciwnie jak poprzedni, odbywał się bez najmniejszego nacisku germanizacyjnego, więc znaczna część żydowstwa nie uciekała się do tego środka schlebiania władzom rządowym tem, aby język urzędowy tych władz uznawać za swój własny, rodzimy.

Przeciwnie — ostatni spis ludności odbywał się już po upadku w Wiedniu gabinetu centralistycznego, więc wtedy, kiedy wobec ministerstwa autonomicznego odpadł już powód umizgania się do niemieckiego liberalizmu, i nicowania naszych żydów na Niemców.

Nic przeto naturalniejszego nad to, że przełożeni żydowskich gmin wyznaniowych po miastach i miasteczkach, swoich współwyznawców, przedtem wpisywanych, przez wzgląd na gabinet centralistyczny, pod kategorję Niemców, zapisywali w r. 1880 wtedy, gdy ustał nacisk z Wiednia, w rubrykę Polaków.

Kto jednak dobrze świadom żydowskich stosuków w naszych miastach i miasteczkach, przyzna zapewne, że zarejestrowanie naszych Moszków i Boruchów w rubrykę czy to Niemców, czy Polaków nie zrobiło z nich ani Polaków ani Niemców, lecz że tak przedtem, jak później pozostali oni tem, czem byli a więc — żydami. Wyjątek z tej ogólnej reguły mogli jeno stanowić żydzi insularnie zamieszkali po wsiach i własnemi rękami chwytający się pługa. W tej klasie żydowstwa wynaradawianie postąpiło o tyle naprzód, że w wielu miejscowościach — szczególnie w Galicyi zachodniej — przyjęli oni strój ludu, przywykli do codziennego używania mowy swoich sąsiadów, a często córki tych żydów-włościan pożądliwem okiem rzucały na naszych parobczaków i aby ich posiąść zamieniały tałmud na naszę wiarę.

Drugim wyjątkiem byli żydzi, którzy zasiedli w dworkach naszej wywłaszczonej szlachty lub zajęli nawet pałace ongi magnackich fortun. I tam polszczenie szło raźniej, bo przecie ustawiczne stykanie się z ludem, stosunki sąsiedzkie z okolicznymi właścicielami i stosunek z władzami urzędującemi po polsku ułatwiały ten proses polszczenia żydów-właścicieli i żydów-oficjalistów, a wkońcu pewna próżność, aby w oczach niższych warstw społeczeństwa przestać być żydem, a stanąć na równi z innymi właścicielami majątków ziemskich, zanadto łechtała żydów, aby się zbytnio mogli opierać prądowi asymilacyjnemu.

A przecież nie działał ten prąd tak silnie, jakby tego sobie życzył autor, bo mówią przeciw temu jego własne daty statystyczne wykazujące, że z żydów zamieszkałych na obszarach dworskich nawet w ostatnim spisie ludności t r z e c i a i c h c z ę ś ć dobrowolnie uważała się za Niemców.

Na tym punkcie nie ma wątpliwości, jeżeli bezwzględnie mamy dawać wiarę statystyce, lecz warto może przypomnieć dla czego tak się działo.

Nasza era konstytucyjna powstała na tle silnie zabarwionym liberalizmem, a ów liberalizm przyprawiony był z niemiecka.

Owóż ów liberalizm, który oddawna dla naszych żydów wyzwalających się z pod twardego zakonu Mojżesza, był wężem kusicielem, z chwilą ich równouprawnienia stał się bożyszczem, przed którem bili pokłony.

On to, ów liberalizm, darzył ich swobodami obywatelskiemi, on z holotów, kilku kroplami atramentu, przemienił ich w obywateli kraju.

Czyż przeto dziwić się nam, że dla oświeceńszej warstwy naszego żydowstwa liberalizm wydał się być oczekiwanym Messjaszem, a że zaś był ów liberalizm „par excellence" niemieckim, więc żydów zamiast w Polaków przedzierzgnął z razu w Niemców.

Jakby ku Mecce zwracali oni swoje oczy ku Wiedniowi, rozkoszowali się w bezwyznaniowych koryfeuszach tamecznego parlamentu, jeno liberalne dzienniki niemieckie brali do ręki i z politowaniem patrzali na nas zacofańców, którzy niezatraciliśmy wiary i w niemieckim liberalizmie widzieliśmy dużo talmi złota bez istotnej wartości.

Była to chwila, kiedy u szczytu potęgi stał „Szomer", a nasi liberalni żydkowie nam na przekór i ku szkodzie szli w pakty z S. Jurem.

I dziś jeszcze nie wyzbyliśmy się żydów silniej wierzących w nieomylność *Neue fr. Presse* i *Tagblattu*, niż w przykazania Tałmudu, ignących ukrycie do niemieckiego liberalizmu i nie mogących przewidzieć, że nasz ustrój społeczny, nasze tradycje, nasze aspiracje polityczne nie mogą godzić się z bezwyznaniowym, wszystko niwelującym liberalizmem Zachodu.

I owóż w tem leży przyczyna, że właśnie ta część naszego żydowstwa, która materjalnie i wykształceniem stanęła najwyżej, tylko z trudnością staje w naszych szeregach, że więc dotąd mało mamy Dubsów i Zukrów, ale przy zwrocie wewnętrznej polityki Austrji na dawniejsze tory, znajdą się niestety Hönigsmanny, Kalirv i Landesbergery.

Tej zawady w przyswojeniu żydów nie widzi autor, bo wydaje się jemu, że, aby spolszczyć wykształceńszych starczy, aby tych, którzy biegle władają naszym językiem, przypuszczać do wspólnego pożycia towarzyskiego.

Tu przepomina on jednak, że do wspólnego pożycia towarzyskiego na dłuższą metę — a to musiał autor mieć na myśli — sprzęgają się żywioły nie tylko posiadające ten sam pokost ogłady towarzyskiej, nie tylko stojące na równym poziomie wykształcenia i mówiące tym samym językiem, ale wiążą się ludzie tych samych zasad etycznych, politycznych, społecznych.

Gdzie nie ma tego kitu, owej zgodności przekonań i wierzeń, tam nie ma mowy o trwałem pożyciu towarzyskiem, lecz może się jeno wytworzyć luźne stykanie się ludzi.

Aby przeto sprządz różnorakie żywioły w towarzyskie obcowanie, trzeba aby wstępujący w towarzystwo wzięli rozbrat z wyszydzaniem naszej wiary, naszych zasad moralnych, naszych zapatrywań politycznych, bo chroń nas Boże od tego, ażeby nasza gościnność i uprzejmość towarzyska zaszła aż do kresu robienia ustępstw z tego, w co wierzymy i wierzyć powinniśmy.

Tak kształtujące się pożycie towarzyskie odda bez wątpienia znakomitą posługę w przyswojeniu nam wykształceńszych żywiołów żydowskich, ale nie wystarczy bynajmniej otworzyć dla nich dworków naszej szlachty i salonów arystokracji, lecz niezbędnie potrzeba, aby do nich weszły te żywioły bez uprzedzeń, bez sarkastycznego uśmiechu na widok naszych katolickich zwyczajów, bez chętki nawracania nas na własne poglądy moralne i społeczne.

Przyjąwszy tę poprawkę można już zgodzić się na owe uniwersalne lekarstwo, przepisane przez autora ku spolszczeniu wykształceńszych i zamożniejszych żydów, lecz niepodobna zgodzić się na to, aby już dziś ciemne męty żydostwa pożądliwie domagały się zlania z nami i z niecierpliwością oczekiwały chwili, rychło-li inteligencja z ich i z naszego obozu weźmie do tego inicjatywę.

Dowodów na to znów nie dostarczył nam autor, więc wybaczy, że w tym wypadku nie uwierzymy mu już na słowo, chociażby w połowie. Bo jakżeż uwierzyć temu twierdzeniu, kiedy sam autor na innem miejscu swojej broszury powiada o tych spodnich warstwach żydostwa, że „o g r o m n e m a s y d z i e c i, b ę d ą c y c h w w i e k u s z k o l n y m, n i e p o b i e r a j ą n a u k w z a k ł a d a c h p u b l i c z n y c h, l e c z g r o m a d z o n e p o b ó ż n i c a c h b y w a j ą o d g r a n i c z o n e o d r e s z t y l u d n o ś c i z a r a z w p i e r w s z y c h p o c z ą t k a c h p r z y j m o w a n i a w r a ż e ń z e w n ę t r z n y c h". Czyż może więc w tych masach żydostwa odgraniczonych już z dzieciństwa od reszty społeczeństwa, murem przesądów i nienawiści odgrodzonych od sąsiedniego plemienia, kiełkować, wzrastać i wzbierać żądza połączenia się z tem plemieniem, przeto wyzucia się z własnych wierzeń, z własnych etycznych zasad, wyrzeczenia się odrębnych tradycyj moralnych, a przyswojenia sobie obcych mu zupełnie zwyczajów, odmiennych poglądów i diametralnie przeciwnej etyki sąsiadującego społeczeństwa. Kto miał sposobność poznać żydostwa naszego zabobonne przywiązanie do praktyk religijnych, i zna przepisy i przykazania ich religji, nakazujące nienawidzieć goimów, na to tylko stworzonych przez Jehowę, aby synowie Izraela mogli ich wyzyskiwać; ten bez wątpienia przyzna, że dużo jeszcze wody popłynie Wisłą do Gdańska, zanim te najniższe warstwy żydostwa w chrześcijaninie uznają i uszanują równego sobie bliźniego, zanim przekonają się o moralnej wyższości chrześcijaństwa, zanim przyjdą do przeświadczenia, że nie żyć im dalej w osobnem społeczeństwie jako wrzód na zdrowem ciele, lecz że muszą stać się wreszcie tego narodowościowego organizmu pożytecznym członkiem.

Musi więc wybaczyć nam autor broszurki „Nasze czy obce żywioły?" że dla nas te jego wątpliwe żywioły są niezaprzeczenie obce, a jeśli tu i ówdzie poszczególne jednostki tego obcego nam społeczeństwa kłonią się ku nam i chcą się z nami łączyć, to wprawdzie bez entuzjazmu lecz życzliwie witamy tych świeżych pracowników na naszej niwie narodowej i społecznej, lecz z tych nielicznych wyjątków nie sądzimy tak różowo ogółu żydostwa i bynajmniej nie posądzamy go o gwałtowne aspiracje ku nam. I owóż to przekonanie nasze każe nam być wdzięcznymi dr. Lewickiemu, iż cyfrowo wykazał nam rozrost i rozwój żydostwa Galicji, iż liczbami wykazał, jak silnie kurczy się pod naszemi stopami ziemia, która jest podwaliną naszego bytu narodowego. Więc jesteśmy mu wdzięczni za przypomnienie nam, że żydzi, którzy nabyli do r. 1861 jeno 38 większych posiadłości ziemskich, w r. 1870 posiedli ich na własność 68, a w r. 1889 aż 305 majątków było już w ich rękach.

I dla tego to właśnie, pouczeni o grożącem nam niebezpieczeństwie, radzi przyjmujemy wskazówki dr. Lewickiego, jakich nam używać środków, aby przyswoić nam naszych żydów, lecz obce nam złudne nadzieje, aby przymus szkolny, zakładanie uzupełniających szkół rękodzielniczych i rolniczych, założenie szkoły rabinackiej z językiem wykładowym polskim tak prędko wynarodowiły żydów i przedzierżgnęły ich w Polaków mojżeszowego wyznania. Bez wątpienia z coraz szerszemi kręgami oświaty zwolna i stopniowo niknąć będą plemienne różnice, zmniejszać będą wzajemne uprzedzenia, lecz wtedy dopiero przyjdzie do zupełnego zlania się z nami żydów, kiedy przyjmą oni nasze etyczne poglądy, nasze aspiracje społeczne i polityczne, kiedy nasze tradycje dziejowe, nasze ideały, nasza wiara w przyszłość i miłość przeszłości, staną się wspólną własnością Polaków i Żydów.

Wtedy to nie będzie już wątpliwości, czy to obce czy nasze żywioły i odpadnie powód do napisania tak zajmującej rozprawki, jaką obdarzył nas dr. Witołd Lewicki. *T. Ż.*

Kronika.

Lwów, dnia 22 lipca.

Dar. Najj. Pan udzielił z prywatnej swej szkatuły gminie Tehłów, w powiecie rawskim, na wewnętrzne urządzenie cerkwi, zapomogę w kwocie 100 zł.

Z Uniwersytetu. Pp. Tadeusz Gorecki, rodem ze Lwowa i Tadeusz Dumicz Kraśnicki z Brzeżan, otrzymali w Uniwersytecie Jagiellońskim stopnie doktorów praw; Jan Raczyński zaś z Nowego Sącza otrzymał w tymże uniwersytecie stopień dra wszech nauk lekarskich.

Dyplom lekarza weterynarji otrzymał w lwowskiej szkole weterynarji p. Otto Lille, rodem z Tarnopola.

P. Józef Tylko otrzymał od Namiestnictwa koncesję na wykonywanie przedsiębiorstw budowniczych we Lwowie.

Prezesem Rady powiatowej żółkiewskiej, wybrany został p. Tadeusz hr. Starzyński.

P. Adolf Kornecki, naczelnik głównego urzędu pocztowego we Lwowie, ma zostać przeniesiony w tym samym charakterze do Brodów, a jego miejsce zajmie starszy komisarz poczty p. Józef Chołodecki.

Losowanie premij z fundacji ś. p. Wincentego Łodzia Ponińskiego, przeznaczonej dla praktykantów rzemieślniczych, odbyło się we Lwowie dnia 19 b. m W r. b. wpłynęło około 1050 podań o przypuszczenie do losowania, z tych przypuściła komisja 1002 petentów. Z tych ostatnich 20 odpadło z powodu nie zgłoszenia się, zaś 982 wzięło udział w losowaniu.

I. premię w kwocie 876 zł. wylosował stolarz Alojzy Smolana. II. premię w kwocie 730 zł. wylosował szewc Ignacy Konieczny. III. premię w kwocie 584 zł, wygrał Antoni Jasiński stelmach, wreszcie IV premię w kwocie 484 zł. wyciągnął rzeźnik Józef Zakrzewski.

Król Milan, jak już telegramy doniosły, opuści w tych dniach Konstantynopol i uda się do Belgradu. Podróż ta ma mieć na celu uregulowanie spraw osobistych ekskróla, a wywołać ją miało głównie życzenie Risticza. Podczas pobytu swego w Belgradzie, eks-król Milan ma przedewszystkiem omówić szczegóły spotkania się króla Aleksandra z królową-matką Natalją.

Dymitr Stanczew, sekretarz księcia Ferdynanda bułgarskiego, otrzymał onegdaj na uniwersytecie wiedeńskim, stopień doktora wszech praw, złożywszy poprzednio z dobrym skutkiem wszystkie rygoroza jurydyczne.

Szczególna owacja spotkała w Krakowie znaną u nas divę operetkową panią Zimajerowę. Na piątkowem przedstawieniu operetki „Gonitwa za szczęściem", w której artystka wykonywuje z powodzeniem wespół z p. Skalskim tak zwany „koci duet", ofiarowano pani Z. piękny bukiet i.... kota z masy papierowej wypchanego cukierkami.

Z Krakowa donoszą, że nieporozumienia pomiędzy artystami operetki lwowskiej a dyrekcją jej, zostały szczęśliwie usunięte, a to w skutek osobistej interwencji p. Barącza, który w sobotę ubiegłą przybył do Krakowa i wypłaciwszy artystom gaże, położył koniec niemiłym zajściom.

Dyrekcja lwowskiego gimnazjum im. Franciszka Józefa ogłosiła sprawozdanie z czynności zakładu za rok szkolny 1889. Ze sprawozdania tego przytaczamy: Grono nauczycieli składało się z 31 nauczycieli zwyczajnych i 8 nauczycieli przedmiotów nadobowiązkowych. Z końcem r. 1889 liczył zakład 753 uczni (z tych 21 prywatystów): Polaków 679, Rusinów 49, Niemców 3. Według wyznania było: rz. kat. 564, gr. kat. 64, orm. 2, ewang. 9, izraelitów 92. Dobry postęp osiągnęło w zakładzie 649 uczniów. Z opłat szkolnych wpłynęło 16.210 zł. z taks wstępu i na środki naukowe 1417. Stypendystów było w ogóle 17 i ci pobrali ogólną sumę 2669 zł.

Do sprawozdania jako praca naukowa dołączona jest rozprawa p. Józefa Czerneckiego p. t. „J. G. Seume, życie dzieła i zasługi jego".

Po kilkumiesięcznej posusze nastał obecnie, wcale dla „rolników nie pożądany sezon deszczów, a co gorsza nawalnic i burz gradowych. Od przeszło tygodnia nie ma prawie dnia bez zlewy, która, jeśli może być dla nas mieszczuchów miłym gościem oczyszczającym powietrze z pyłków kurzu i wymywającym bezpłatnie nam ścieki i kanały, to dla rolników, zbierających teraz skąpe dary Boże, jest prawdziwą klęską. Z wielu okolic słychać również o gradach, które wyrządziły znaczne szkody, a przeważnie dotyczy to okolic naddniestrzańskich. W zeszłym tygodniu burza gradowa nawiedziła powiat żydaczowski i zniszczyła w wielu gminach skoszone już lub na pniu stojące zboża.

Prośba. W numerze *Przeglądu* z dnia 29 marca b. r. zamieściliśmy list p. Ludwika Karlińskiego o rodzinie baronów Sholmanów. Owóż mnóstwo osób z tej rodziny, jak się okazuje bardzo w Galicji rozgałęzionej, zgłosiło się do nas z prośbą, abyśmy wskazali adres p. Ludwika Karlińskiego, gdyż za pośrednictwem jego chcą oni udowodnić swoje pochodzenie do barona Adolfa Oskara de Molmo Sholmana i na tej podstawie wrócić do ogromnego majątku, jaki tej rodzinie zabrał rząd szwedzki, co zwłaszcza z tego względu, że są to wszystko ludzie bardzo ubodzy i obarczeni liczną rodziną, ma dla nich tem większą wartość. Jednakże temu ich żądaniu nie mogliśmy uczynić zadość, bo sami nie wiemy adresu p. Ludwika Karlińskiego. Ale dzisiaj była u nas pewna p. Sholmanowa, uboga wdowa po poczmistrzu, matka młodego chłopaka; środki jej nie wystarczają do kształcenia dziecka, a chciałaby mu dać naukę. Uprasza przeto gorąco p. Ludwika Karlińskiego aby był łaskaw złożyć w Redakcji *Przeglądu* swój adres, gdyż chce się z nim zobaczyć i dowiedzieć się od niego jakiemi drogami mogłaby dojść do tego, aby ten olbrzymi majątek — „miljardy", jak twierdził w swym artykule p. Karliński — można było wywalczyć na rządzie szwedzkim dla rodziny Sholmanów.

Z Cetynji donoszą, że cała rodzina księstwa Czarnogórskiego ma się w bieżącym tygodniu wraz z W. księciem Piotrem Mikołajewiczem udać do Peterhofu na ślub tegoż księcia z księżną Milicą Czarnogórską, który odbędzie się dnia 9 sierpnia r. b. Rodzina książęca odbędzie do Fiumy podróż jachtem czarnogórskim „Sybilla", z Fiumy podąży zaś przez Wiedeń do Petersburga. Książę Mikołaj Czarnogórski miał podobno zaniechać zamiar udania się w tym roku do Vichy i około 20 sierpnia powróci z Petersburga do swojej rezydencji.

„Wojna w roku 18..." — Pod tym tytułem wyszła w Petersburgu broszura w języku rosyjskim i w społeczeństwie tamecznem wywołała wielkie wrażenie. — Autor jej kryjący się pod pseudonimem „Biełomor" zostawia czytelnikowi swobodę dopisania dwóch cyfer do liczby 18.., ale wykazuje, że w którymkolwiek roku, czy w bieżącym czy w przyszłym, wypadłaby ta wojna, to w każdym razie Rosja powinna się do niej tak przygotować, żeby na jednego żołnierza wrogów postawiła dwóch żołnierzy swoich, a na jeden ich wojenny statek dwa swoje pancerniki. „Bo będzie to wojna na śmierć i życie, i ten kto w niej pokonany zostanie, wymazany będzie z karty Europy" powiada Biełomor.

Renegatka. Czytamy w *Dzienniku Poznańskim*: Znana propagatorka niemczyzny nauczycielka w Chełmnie, szczycąca się pięknem nazwiskiem niemieckiem: Kornelia von K a r l o w s k i w tych dniach przeszła na protestantyzm. Nie martwi nas to bynajmniej, i owszem; nam będzie za równo, choćby i panna „von Karlowski" przeszła na wiarę Mahometa. Przytaczamy tylko ten „fakt" na dowód, jak germanizacja a protestantyzm u nas idą ręka w rękę przypominając zarazem, że panna ta oświadczyła swego czasu, iż germanizowanie dzieci uważa za swe główne zadanie, jako też wsławiła się w Chełmnie szczególniejszą niechęcią przeciw polskości.

Farkas, wybraniec fortuny, która na loterji temeszwarskiej obdarzyła go wątpliwą wygraną 480.000 zł., pozostaje ciągle w więzieniu.

Przed paru dniami zrobiono w mieszkaniu jego w Peszcie rewizję. Zabrano 30 listów, 29 recepisów, pięć rachunków kupieckich i pięć fotografij. Przesłuchano także jego służącę Różę Marian, piękną blondynkę liczącą 24 wiosen życia. Róża jest rodem z Werszecu, miejsca rodzinnego Farkasa i dawniej przez trzy lata w domu jego służyła. Teraz dowiedziawszy się, że jej dawniejszy pan zrobił wielkie terno, spakowała swoje manatki i udała się wprost do niego do Budapesztu. Farkas przyjął dawniejszą służącą i obdarzył ją hojnie. Policja budapeszteńska sfotografowała dziewczynę w kilku pozach i wysłała ją do Temeszwaru do sędziego śledczego.

Podczas rewizji w pomieszkaniu Farkasa szukano usilnie za „kołem z numerami". Według opowiadania sąsiadów Farkasa miał on takie koło, zupełnie takie, jakiego używają w loterjach, posiadać u siebie w domu i ciągle się niem zabawiał. Koła tego nie znaleziono jednak, tylko podstawkę do niego i tę jako *corpus delicti* zabrano do sądu.

O Farkasie donoszą dalej z Temeszwaru: Farkas był przed paru laty dependentem adwokata tutejszego Milosawliewicza i miał rocznego dochodu do 5 000 zł. Naraz, bez żadnego powodu porzucił tę posadę i w spółce z tutejszym golarzem Hergattem otworzył kolekturę loteryjną. Niepodobna przypuścić ażeby uczynił to w zamiarze polepszenia sobie bytu, gdyż kolektura przynosi najwyżej 1 500 zł. rocznie, a i tym dochodem musiał on dzielić się z swoim wspólnikiem. Widocznie szło mu o bliższe wglądnięcie w tajemnice gry loteryjnej. Studjum to nie było bezowocne, gdyż w przeciągu jednego roku zrobił Farkas dwa terna, jedno na 24.000 zł., drugie na 36.000 zł. Po zrealizowaniu tych dwóch tak czułych uśmiechów fortuny opuścił Werszec. W ostatniej, pół miljonowej wygranej miał udział dawniejszy wspólnik jego Hergatt, który dostał z tego tytułu 120.000 zł.

Podczas przesłuchania przez sędziego śledczego zachowywał się Farkas całkiem spokojnie, jak człowiek najniewinniejszy, z góry, z pewnego rodzaju politowaniem patrzał na sędziego. Wygranę swoję przypisywał tylko szczęśliwemu przypadkowi, wskazując, że już nie raz tak mu się na loterji powiodło.

Opowiadał również, że specjalnie studjował grę loteryjną i utworzył sobie szereg kombinacyj, które są, zdaniem jego, niezawodne. Jako szczegół uniewinniający podaje, że te same numera, na które wygrał w Temeszwarze, postawił i „na Peszt". Przyznał, że podczas ciągnienia był w Temeszwarze, i że chciał się nawet dostać do sali, gdzie się odbywało ciągnienie, nie uzyskał jednak wstępu, bo kiedy przyszedł było już bardzo pełno.

Śledztwo wykazało dotychczas, że owa tak często wspominana „czarna dama", która podała się jako Irena Kovacs, jest właściwie wdową po niejakim Ferdynandzie Telseky i w Temeszwarze przybrała fałszywe nazwisko Kovacs. Ma ona 13 letnią córkę, Małgorzatę, czyli Margitę, która przebrana za chłopca wyciągnęła „szczęśliwe" terno. Poprzednio wdowa Telseky żyła w wielkiej biedzie, po wygranej Farkasa popłaciła wszystkie długi.

W domu, w którym mieszkał Farkas w Budapeszcie, miał także swój warstat stolarz, niejaki Mattausz, do którego przed paru miesiącami przysłał urząd loteryjny z Temeszwaru „koło", które się było popsuło. Farkas odwiedzał Mattausza często i ogromnie interesował się owem kołem. Jakim sposobem stało się, że urząd loteryjny temeszwarski przysłał koło do naprawy do Pesztu i do stolarza znajomego Farkasa, to jest punkt dotychczas jeszcze nie wyjaśniony.

„Czarną damę", wyżej wymienioną wdowę Telseky, przyaresztowano wraz z jej córką. Obie złożyły bardzo wyczerpujące przyznanie się do winy, że się dały użyć Farkasowi za narzędzie, z tem, że Farkas podszedł je niegodnie, gdyż zrazu obiecywał złote góry, a po dokonanem ciągnieniu zapłacił im wszystkiego tylko 300 guldenów. Podczas rewizji domowej, dokonanej u wdowy Telseky w Töröku, znaleziono listy, które świadczą, że „czarna dama" była od dawna z Farkasem w zmowie i plan wielkiego oszustwa dawno już był ułożony.

W Ojczyźnie, organie izraelitów tutejszych, czytamy co następuje:

„Przez Tarnopol i Lwów udało się onegdaj 900 osób z Rosji w podróż zamorską do Argentyny. Byli to wyłącznie żydzi, przeważnie rzemieślnicy i nieco zasobni kupcy, zmuszeni uciekać z kraju ucisku, gdzie — jak powiadali — dowolność władzy i niepewność jutra pannją srożej, jak kiedykolwiek. Nieszczęśliwi tułacze z żonami i drobnymi dziećmi pełni obawy puścili się w kraj daleki, gdzie rolnej chcą oddawać się pracy. Czy nie padną ofiarą klimatu, stosunków nieznanych lub... wyzysku?"

Że mogą paść ofiarą klimatu i stosunków nieznanych, w to wierzymy, ale skądże wyzysku? Musieliby Argentyńczycy wstawać bardzo wcześnie.

Z Niska nam donoszą, że droga krajowa Nisko-Nadbrzezie, zbudowana doskonale przez nader zdolnego inżyniera Wydziału krajowego, p. Szyszkowskiego, oddana zostanie już niebawem do użytku publicznego.

Nadto nam piszą, że włościanie wsi Trześni chcą nabyć majątek Zaszykowice i udali się już w tym celu do Banku krajowego z prośbą o pożyczkę. Również włościanie innych okolicznych wiosek traktują o nabycie pewnego majątku, który jest teraz w ręku żydowskiem. Bank krajowy powinien te usiłowania włościan szczerze i gorąco popierać.

Z Rohatyna nam piszą.

Nie wiemy, czy kiedy miasto Rohatyn było świadkiem tak wspaniałej i wzruszającej uroczystości, jaka się odbyła w zeszłą niedzielę (14 bm.). Uroczystością tą był jubileusz 50letniego kapłaństwa miejscowego proboszcza ks. kanonika Borszczowskiego, dziekana kąkolnickiego.

Jeżeli w tak trudnej a mozolnej robocie jaka jest przeznaczoną każdemu kapłanowi, Bóg dozwala pół wieku pracy, czyż to nie jest dowodem błogosławstwa? W tymto duchu Kościół otoczył wzniosłą ceremonją błogosławieństwa sędziwych kapłanów za 50 letnią pożyteczną służbę Kościołowi i społeczeństwu.

Ten ceremonjał właśnie spełnionym został z taką okazałością, na jaką parafjanie miłujący swego pasterza zdobyć się mogli.

Rozrzewniający był widok, kiedy wśród licznego zgromadzenia inteligencji równie jak i prostaczków w oznaczonej godzinie wyszedł ze swego mieszkania sędziwy jubilat, otoczony jakby wieńcem przywiązanych licznie zebranych współdekanalnych i innych kapłanów obu obrządków pod przewodnictwem ks. Kierszki, proboszcza infułata podhajeckiego, a poprzedzony wspaniałą procesją z pieśnią z tysiąca piersi wiernych wzniesioną ku niebu, przyprowadzony został do świątyni pańskiej.

Tu po dopełnieniu modlitw przepisanych rytuałem, po raz wtóry w życiu jubilata zabrzmiał hymn *Veni Creator*, po skoczeniu którego jubilat w asystencji księdza infułata i duchowieństwa przystąpił do spełnienia bezkrwawej ofiary.

Jak niegdyś — przed laty pięćdziesięciu, kiedy po raz pierwszy z młodzieńczym zapałem, z pełną miłością w sercu składał Bogu ofiarę, błagał o pomoc i błogosławieństwo w rozpoczynającej się pracy w winnicy Chrystusowej — tak teraz po upływie pół wieku składał korne dzięki temuż Stwórcy za tak długą pielgrzymkę żywota kapłańskiego, którą zwycięsko przebył z trudem a często i z goryczą, składając swe prace temu któremu miernie służył.

Po skończonej uroczystej mszy św. — chociaż sędziwy jubilat był strudzony — długo jeszcze wkładał swe błogosławieństwo na głowy ukochanym swym parafjanom.

Ta uroczystość nadzwyczajna potężnie wzruszyła serca licznie zgromadzonych wiernych.

Po skończonej uroczystości, przy skromnym posiłku w gościnnym domu jubilata, duchowieństwo dekanalne w dowód życzliwości i przywiązania do swego dziekana na pamiątkę złożyło mu drogocenny różaniec i życzenia *ad multos annos*.

Z Wilna piszą: Kredyt moralny rabinów stanowczo został zachwiany nawet wśród najpobożniejszych izraelitów.

Do najpopularniejszych nad Wilją należał rabin trocki, Stromberg. Ufano mu ślepo, bezgranicznie. Oddawano się na jego sąd mądry, oddawano mu w „depozyt" honor, mienie, wszystko, co człowiek posiada najdroższego. W kasie rabina było stale po kilkadziesiąt tysięcy rubli. Nikt go jednak o jakiebądź malwersacje nie podejrzewał. Rabin, jak dotąd, nie nadużył pokładanego w nim zaufania. Dopiero obecnie się zdradził, kim jest. Zgromadziwszy cudzych pieniędzy w swej kasie do 30.000 rs., wyładował niemi kieszenie, dostał się potajemnie (dla zupełnego „incognito" zgolił brodę) do najbliższej stacji kolei żelaznej, zkąd na Wilno i Wierzbołowo udał się — jak wieść niesie — do Hamburga, gdzie już na pewno morzem popłynie do Nowego Świata.

Podobno emigranci z gub. Wileńskiej, którzy obecnie mieszkają w Nowym-Yorku, skusili poczciwego rabina, ażeby się przeniósł do Nowego Świata, gdzie na rabinów popyt wielki.

Wielki lament dziś wśród wiernych, tak haniebnie wyzyskanych przez sprytnego rabina. 30 000 rs.! To suma bardzo znaczna... Kilka rodzin zaufało rabinowi w zupełności, oddając mu na „przechowanie" cały swój majątek i płacąc nawet po 4 prct. rocznie za to przechowywanie.

Jest to już drugi w tych czasach wypadek ucieczki rabina. Tylko że pierwszy zdołał się zaopatrzyć zaledwie w 2.000 rs. (cudzych naturalnie), no — i drapnął nie do New-Yorku, jak p. Stromberg, lecz do Chigaco.

Powodzenie kantorowiczów-zbiegów nie daje, jak widać, spać nawet tutejszym rabinom.

Przed paru dniami wszczął się popłoch w teatrze, mieszczącym się w b. botanicznym ogrodzie, w czasie przedstawienia operetki „Boccacio". Z niewiadomej przyczyny zapaliły się kulisy. Publiczność tłumnie rzuciła się ku wyjściom. Okrzyki „gore!" dały się słyszeć. Pożar jednak ugaszono prędko i skończyło się tylko na przestrachu.

Polacy w Halli. Czytamy w warszawskim *Przeglądzie Katolickim*:

Dnia 29 czerwca w zastępstwie starego 80-letniego biskupa z Paderbornu, przybył do Halli biskup fuldajski, przyjęty na dworcu kolei żelaznej przez miejscowe duchowieństwo i przedstawicieli dozoru i stowarzyszeń kościelnych. W siedmiu powozach udali się zebrani wraz z biskupem do kościoła, gdzie po powitalnych przemówieniach, biskup udzielił błogosławieństwa pasterskiego zebranym. Nazajutrz po nabożeństwie miało miejsce bierzmowanie 1300 miejscowych katolików i 300 Polaków, którzy w tamtych stronach przebywają, jako przybyli do fabryk i kopalni wyrobnicy. Jeden z kapłanów, towarzyszących biskupowi, przemówił do Polaków po polsku przed i po bierzmowaniu; to ostatnie jego przemówienie było tak serdeczne, iż wywołało głośny płacz, który nawet Niemcom, nierozumiejącym naszej mowy, łzy z oczów wywołał. Gdy biskup wychodził z kościoła, Niemcy stali spokojnie, Polacy zaś hurmem rzucili się do niego, całując jego ręce, lub nawet kraj jego szaty. Biskup i jego otoczenie zbudowani byli tą żywą wiarą naszych rodaków, zapewniając — jak podaje nasz korespondent — iż świadkami takiego jej objawu nie byli jeszcze nigdy.

Świętobliwy Misjonarz. W szeregu ludzi, którzy w przyszłości zaliczeni będą w poczet świętych, znajdować się pewnie będzie Ojciec Damian, misjonarz, który niedawno zmarł na wyspach Sandwichskich na straszną chorobę trądu. Sam się on na tę śmierć naraził. Kiedy przed laty 19 dowiedział się o strasznych cierpieniach ludzi, dotkniętych trądem, a osiedlonych na wyspie Molokai, uprosił przełożonych, by go tam posłano. — Przybywszy na owę wyspę, zastał chorych w stanie straszliwym; byli oni umieszczeni w domach, w których dawał się uczuwać brak powietrza i wody. Słowem, położenie tych nieszczęśliwych było okropne. Ojciec Damian za cel życia swego postawił naprawę tych stosunków. I udało mu się to znakomicie. Umierając, pozostawił na wyspie Molokai pięć kościołów, wielki magazyn żywności, wygodne chaty, zbudowane na rusztowaniach z belek i ochronione w ten sposób od szkodliwego wpływu waporów, wydobywających się z ziemi. Trędowaci czują się więc obecnie szczęśliwymi, gdyż z Honolulu przybywają do nich od czasu do czasu krewni i rozmawiają z nimi — naturalnie w oddaleniu przez lekarzy wskazanem. — Ojciec Damian należał do zakonu świętych Serc Jezusa i Marji. Urodził się w r. 1841 w Lowanium z dobrej rodziny. W 19 roku życia, za przykładem brata, został kapłanem, a ponieważ brat zachorował na febrę, zastąpił go na stanowisku Misjonarza. Przez jakiś czas głosił Słowo Boże na różnych wyspach Oceanu Spokojnego, aż nareszcie dostał się na wyspę Molokai. Po 10 latach żmudnej a niezmordowanej pracy poorane zmarszczkami czoło, nos zapadnięty, przedłużone uszy, nabrzmiałe ręce Misjonarza zaczęły zdradzać pierwsze ślady trądu. Znając jego sposób życia, ani nawet na jednę chwilę nie było można spodziewać się, by uniknął trądu, większą część dnia bowiem spędzał w chatach trędowatych, opatrywał im rany, mył ich, odwiedzał zmarłych i tychże grzebał. Zresztą udzieloną mu przez lekarzy wiadomość o chorobie, która go dotknęła, przyjął bardzo obojętnie. — Nie chcę wyzdrowieć, jeżeli koniecznym warunkiem ma być opuszczenie wyspy — mawiał Ojciec Damian do swych gości. — Zaczął się przecież leczyć i przez czas pewien czuł się nawet zdrowszym, po użyciu tak zwanego olejku Guryun, którego używają Indjanie a robionego z sosen, rosnących na wyspach Andamańskich. Choroba była jednak w nim jednak zakorzenioną zanadto głęboko, aby można już było ją wyleczyć. Misjonarz zmarł, jak żołnierz na stanowisku, wśród tych nieszczęśliwych, których ukochał, którym przez lat tyle był prawdziwym ojcem i opiekunem, zmarł na tę chorobę, która ich tak wcześnie światu wydzierała. — Na wyspie Molokai mieszka ogółem około 1000 trędowatych, a w tej liczbie przeważnie mężczyźni, którzy chorobie tej ulegają o wiele łatwiej niż kobiety. Opowiadają nawet, że jakaś kobieta po śmierci męża swojego, dotkniętego trądem, wychodziła za mąż po kolei za trzech trędowatych na wyspie Molokai, a przecież sama była zdrową. Trędowaci mieszkają na tej wyspie w dwu wsiach, Kalawao i Kandapapa. Wyspa pokryta jest zieloną wegetacją.

— **Zgon pod rogami byka.** W tych dniach Hiszpanja utraciła pod rogami byka jednego ze słynniejszych swoich „espada'sów", Manuela Fuentas, znanego więcej pod imieniem „Boccanegra", który poniósł śmierć na Plaża de Torros, w Baeza, w Andaluzji, wśród następujących okoliczności: Trzy byki zbroczyły już krwią swoję arenę cyrkową, gdy wpuszczono czwartego, młode, trzyletnie zwierzę, sprowadzone świeżo z okolic Salamanki. Naprzeciw czworonogiego szermierza wystąpił brat Boccanegra, zwany „El Melo", lecz odrazu jakoś począł sobie niezręcznie z rozjuszonem zwierzęciem. Im bardziej byk napierał, tem więcej szermierz począł ustępować, aż wreszcie znalazł się przy samych szrankach, a tam nie miał już gdzie dalej się cofać. W cyrku nastała chwila trwożliwego oczekiwania. Jeszcze parę sekund, a „El Melo" musiałby być zgubionym. Boccanegra dostrzegł jednak niebezpieczeństwo, jakie zagrażało jego bratu i bez namysłu pospieszył mu z pomocą. Widzowie zaparli oddech w piersiach. Trzymając szpadę swoję między zębami, skoczył Boccanegra przed byka i jednym ruchem zawiesił mu na rogach swój czerwony płaszczyk. Byk został oślepiony na chwilę, a „El Melo" uratowany. Huczny grzmot oklasków ze wszystkich stron cyrku powitał ten śmiały postępek. Ale to właśnie stało się fatalnem dla Boccanegra. Począł on dziękować ukłonami za oklaski na prawo i na lewo i stracił przez to z oczu na chwilę straszliwego byka, który zwrócił się zaraz ku niemu z powrotem. Boccanegra i tym razem uskoczył na bok, ale było już zapóźno! Jeden róg rozjuszonego zwierzęcia dosięgał ciała espady i przebił je na wylot. Byk ze zdobyczą swoją pognał parę kroków, podrzucił nieszczęśliwego w górę, a gdy ten legł u jego stóp nieruchomie, począł go dokoła obchodzić. Wreszcie oddalił się, dumny ze swego zwycięstwa, podczas gdy publiczność, zapominając o nieszczęśliwym szermierzu, wybuchnęła okrzykiem: „Bravo! bravo el toro!" Wyniesiony z areny Boccanegra, zmarł w szpitalu w trzy godziny po ocaleniu brata, które zgonem swoim przypłacił.

Aparat niszczący zmarszczki. Dla Brown-Socquarda i Vario, pracujących nad wynalezieniem eliksiru młodości, przybył groźny konkurent...

Jest on wprawdzie czysto mechaniczny, ale podobno już teraz, jeżeli wierzyć ogłoszeniom, zbawienne sprawia skutki.

W Paryżu utworzyło się konsorcjum pod nazwą „Societé thérmodermite", wszędzie rozsyłające wymowne reklamy o nowo wynalezionych aparatach, niszczących zmarszczki...

Aparat wystarczający na półtora roku, kosztuje tysiąc franków, takiż na trzy lata trzy tysiące i nakoniec *chargé à jamais* pięć tysięcy franków.

Jeżeli aparat funkcjonuje jak należy, to doprawdy sprzedają go za bezcen.

Jeżeli jednak, czego się spodziewać należy, jest tylko wędką zarzuconą na łatwowierne?...

Mądry pies. Pewien aptekarz, gorliwy katolik, przestrzegający ściśle postów, miał psa, który niknął mu regularnie co czwartku wieczorem i zjawiał się dopiero w niedzielę rano. I cóż się okazało? Oto przemyślne zwierzę czas ten przepędzało na podwórku miejscowego doktora, u którego — nie przestrzegano wcale postów.

Co kraj to obyczaj. Piszą nam z Odesy: Tylko w Rosji możliwa scena odegrała się w dniu 30 czerwca w wagonie 3 klasy jadącego do Odesy pociągu pocztowego.

Na stacji Koziatyn wsiadło do wagonu 3 klasy grono podróżnych. W gronie tem znajdowała się także młoda, inteligentna dama i rodzina pewna, składająca się z męża ubranego w mundur, żony i dorosłej córki. Wszyscy usiedli na ławkach. Podczas drogi wyjrzała młoda dama na chwilę przez okno, z tego skorzystała sąsiadka jej, żona umundurowanego jegomości i zrzuciła wszystkie jej rzeczy z ławki na ziemię. Młoda dama widząc to powiedziała swej sąsiadce jakieś słówko nie bardzo grzeczne, na co ta zerwła się i z całej siły w twarz ją uderzyła. Wszyscy obecni w wagonie oburzyli się na to i radzili młodej damie, aby na najbliższej stacji wniosła zażalenie do naczelnika. Pociąg doszedł do stacji, i dama chciała się użalić, uprzedził ją jednak mąż napastniczki, ów umundurowany jegomość i rozpoczął opowiadać po swojemu tę rzecz wyprostowanemu jak struna żandarmowi. Widząc, że na tej stacji nie dojdzie do końca, przesiadła się młoda dama do innego wagonu. W chwili jednak, gdy pociąg ruszył, wskoczył do tego samego wagonu ów umundurowany jegomość, porwał młodą damę za włosy, rzucił na ziemię, bił i kopał nogami tak, że wkońcu zemdlała; i z trudnością dopiero do przytomności ją przywrócono.

Na stacji Winnica spisał naczelnik protokół z całego zajścia, studenci bowiem jądący z tą damą w jednym wagonie sami ujęli się za nią i wnieśli zażalenie.

Bohater tego skandalu, ów umundurowany jegomość napuszystem tonem odpowiedział pytającemu się go naczelnikowi stacji, że jest urzędnikiem sądowym i podał nazwisko swoje jako Sz . . . . ki, znieważona zaś dama panna G. powracała do rodziny w Odesie, z Petersburga, gdzie ukończyła wyższe kursa żeńskie.

Ludność w Chinach podług ostatnich obliczeń z r. 1885 wynosi 319,383.000 ludzi; w tej liczbie atoli brak pięciu prowincyj, które nie nadesłały jeszcze swych wykazów statystycznych. Tych ludność zaś wynosi, mniej więcej 60 miljonów. Obliczanie zaś odbywa się w ten sposób: W każdej wsi czy mieście 10 domów tworzy t. zw. „czia", mającą wspólną książkę meldunkową. Najstarszy mężczyzna z owej „czia" jest obowiązanym sumiennie zapisywać wszystkich innych współmieszkańców, nowourodzone dzieci. Co rok książki te odsyłane są do kas podatkowych, które robią wspólny obrachunek i przesyłają go znowu władzy centralnej.

Tanie lekarstwo.

— Mam czkawkę... przestrasz mnie!

— Pożycz mi dziesięć guldenów...

— O.., dziękuję... już przeszło!

W szkółce.

— Jakie zwierzę dostarcza szynek?

Uczeń po namyśle:

— Rzeźnik.

Literatura i Sztuka.

* **Gabrjel Max**, jeden z najznakomitszych tegoczesnych malarzy niemieckich, stworzył cykl obrazów p. t. „Sarmacja". Treścią ich są same typy polskie. Większość zbioru nabytą została przez Amerykanów, dwa zaś dostały się do Warszawy.

Rozmaitości.

— **Ten kochał swoich.** Niejaki Wiliam Hilton, zamożny kupiec z Franklinu (Kentucky), śmiertelną złożony chorobą, kiedy już prawie ostatnie tchnienie oddać mu przychodziło, porwał się nagle z łóżka i zaczołgawszy się w róg pokoju, w którym stała żelazem okuta skrzynia, wydobył z niej cały swój majątek, około 40.000 dolarów, w banknotach i papierach procentowych, i wszystko to wrzucił umyślnie w ogień, przed chwilą na rozkaz jego rozpalony w piecu. Przyczyną tego szalonego kroku była nienawiść Wiljama dla żony i syna jedynaka.

— **W muzeum brytańskiem** w Londynie, zostanie urządzoną wystawa alfabetów, mająca przedstawić początek i stopniowy rozwój różnych systemów pisania, jakoto: egipskie, egipsko-fenickie, chaldejskie i asyryjskie, pisma klinowe Persów i rozmaite pisma Chińczyków. Między temi ostatniemi znajduje się pismo, które powstało 1.400 lat przed Chrystusem. Zgromadzone są dalej wzory pisma anamitańskiego i japońskiego, alfabety różnych języków semickich, obszerna klasa systemów pisma indyjskiego, jakoteż systemy atyckie łącznie z pismem starogreckiem, systemy łacińskie, między którémi znajduje się papyrus Revenna, oraz inne próby starego pisma, nakoniec pismo runiczne. W bogatym tym zbiorze znajduje się także kopia wielkiego rytuału egipskiego „Księga zmarłych", wydanie zbytkowne, wynalezione niedawno w starożytnym grobie egipskim, próba pisma Sanheriba Nabuchodonozora i wiele innych.

— **Grób Wirgiljusza**, znajdujący się w Posilipo pod Neapolem, sprzedany będzie wkrótce przez publiczną licytację.

Właściciel tego grobu, Francuz, który miał ładny dochód z oglądania go przez turystów, napróżno proponował kupno takowego rządowi włoskiemu. Grób nieśmiertelnego wieszcza jestto mały kwadratowy budynek z kopułą, położony wśród sadów i winnic, które były własnością poety.

Urna, w której znajdowały się popioły wielkiego nieboszczyka, jest dzisiaj już pusta. — Napis na nadgrobku jest utworem samego Wirgiljusza.

W ogrodach znajduje się prócz tego mnóstwo tu i ówdzie rozproszonych pomników.

— **Konsumcja koniny we Francji** w ostatnich latach dwudziestu wzrasta bezustannie i szybko, jak się to okazuje z pracy p. Decroix zamieszczonej w *Révue des sciences naturelles appliquées*; gdy bowiem w roku 1869 ilość spożytej koniny wynosiła zaledwie 400.620 kilogramów z 2069 koni, doszła ona w roku zeszłym do 3,940.000 kg. z 17 256 koni, oraz 8971 osłów i 677 mułów.

Przyrost dokonywał się statecznie, szczególny tylko podskok przypada na drugie półrocze 1870 i pierwsze 1871 czyli na okres oblężenia Paryża i komuny, w ciągu bowiem obu tych półroczy konsumcja wynosiła 12,261.100 kg. z 64.362 koni, 635 osłów i 3 mułów.

Z Paryża hipofagja rozpostarła się po departamentach, tak że obecnie jatki z koniną znajdują się we wszystkich większych miastach, a w samym departamencie Sekwany jest ich obecnie 132. — Mięsa z koni zbyt starych i zbyt wycieńczonych lub padłych skutkiem choroby nie używa się wcale.

Cena koniny wynosi połowę ceny wołowiny tj. 2 fr. 50 ct. za kilogram polędwicy, 40 do 60 ct. za kilogram pośledniejszych.

Według tegoż autora konina jest pożywniejszą aniżeli wołowina, bo 4 kilogramy koniny przedstawia wartość 5 kg wołowiny.

— **Losy kobiece.** Niedawno zmarł w Zurychu ks. Fryderyk Wilhelm Hanau. Śmierć ta budzi wspomnienie, które uwiecznione jest na cmentarzu w Cannstadt. O kilka kroków od mogiły poety Freiligratha, leży tam gęsto dzikim powojem okolony grobowiec z następującym napisem: „Augusta, żona jego książęcej mości Fryderyka Wilhelma Hanau, z domu Birnbaum; urodziła się d. 9 listopada roku 1837. Umarła dnia 29 czerwca roku 1862". Pomnik ten córce, której serce pękło w 25 roku życia, postawił ojciec, komik, wysoce ceniony w owych czasach na scenach niemieckich. A gdy i on zakończył życie, złożono śmiertelne jego szczątki u boku tej, którą nad życie kochał i której zgonu przeboleć nie mógł... Córka jego Augusta rozkwitała właśnie jako piękność pierwszorzędna, nadzwyczajna, gdy Birnbaum zbierał wawrzyny jako komik na deskach teatru książęcego w Kassel. Od razu wywarła ona wrażenie na młodego księcia; miłość Fryderyka Wilhelma stała się uczuciem prawdziwem, namiętnością niepokonaną. Pewnej mglistej nocy uciekli do Anglji i tam wzięli ślub prawowity; Augusta Birnbaum została księżną Hanau. Ale gniew ojca Fryderyka Wilhelma, panującego księcia-elektora hanauskiego, nie znał granic. Przedewszystkiem wypędził Birnbauma z teatru. Birnbaum skazany został wskutek tego na życie koczownicze. Młoda para tymczasem miodowe miesiące przebyła w Szwajcarji na koszt Birnbauma, bo książę panujący odmówił synowi wszelkiej pomocy pieniężnej, chyba, że opuści znienawidzoną komedjantkę... Czy Birnbaum w głębi duszy liczył na zmianę usposobienia na dworze kasselskim. Któż zbada? Dość, że poświęcił naprzód wszystkie długoletnie swe oszczędności, ażeby tylko młodej parze na niczem nie zbywało. Oddał potem wszystko, zastawił piękną galerję obrazów, sprzedał wykwintne meble, zgotował sobie ruinę, poświęcił całą rodzinę.. Nareszcie zwyciężył dwór kasselski. Ks. Fryderyk Wilhelm, nie mogąc złamać oporu ojca, uległ i opuścił żonę, opuścił na zawsze... Złamana na ciele i duchu, wróciła do domu rodzinnego. Nie żyła potem długo. Nieukojona boleść zabiła ją, gdy zaledwie skończyła lat 24. W rok potem zgasła matka, a w trzy lata umarł nagle ojciec. Było to w Sztutgardzie; dawano po raz pierwszy dramat Henryka Laubego: „Die Karlsschüler". Birnbaum grał sierżanta Bleistifta i zaledwie opuścił scenę po wielkiej swej roli w akcie drugim, padł za kulisami nie żywy w chwili, gdy chór elewów śpiewał: „Wolne życie prowadzimy!" Obaliła go apopleksja, a w papierach zmarłego znaleziono kartkę, według której Birnbaum zamierzał nazajutrz życie sobie odebrać „z ciężkiej tęsknoty za córką"... Ze śmiercią księcia Fryderyka Wilhelma Hanau zeszła do grobu ostatnia postać, która występowała w tym smutnym, posępnym dramacie miłości...

— **Koronacja poety.** W czerwcu rb. odbyła się zapowiedziana publiczna, formalna koronacja najpopularniejszego i najulubieńszego poety hiszpańskiego Jesego Zorilli, śpiewaka Grenady, przyjaciela nieszczęśliwego cesarza meksykańskiego Maksymiljana, którego smutną historję tak po mistrzowsku rymami wyśpiewał. — W uroczystości tej wziął udział cały naród; wyrwał on sędziwego 72letniego poetę z jego samotności i wezwał go do ulubionej siedziby jego utworów, aby tam przyjął najwyższe odznaczenie, jakie naród w ogóle może dać swemu poecie.

W styczniu rb. redaktor *Defensor de Granada* pan Seco de Lucena zaproponował, aby klub literacki „Liceo de Granada" wziął w rękę ukoronowanie poety podczas Bożego Ciała.

Myśl tę przyjęto z zapałem. Rząd uchwalił na ten cel 20.000 pesetów, a królowa rejentka przyrzekła — jeżeli nie przybyć osobiście, to przynajmniej — przysłać przedstawiciela urzędowego. Na koszta uroczystości napływały nadto sumy z różnych miast Hiszpanji i od wielu osób prywatnych; znaczny fundusz uchwalił także zarząd miasta Granady, przyrzekając nieograniczony swój współudział. Pracowano z gorączkowym zapałem około przygotowań, chciano żeby w istocie obchód był godnym tej tak rzadkiej dzisiaj uroczystości.

W dniu 14 zm. rozpoczął się dla Zorilli szereg dni uroczystych. Bogato przystrojony pociąg zawiózł go z Madrytu do Granady; wszystkie stacje przybrały szatę odświętną, wszędzie czekały na poetę deputacje. Nieprzejrzany tłum powitał go na dworcu w Granadzie, gdzie się zgromadzili przedstawiciele władz, wielu miast, stowarzyszeń i prasy. Wjazd sędziwego wieszcza zamienił się na wielką demonstrację. Długa droga od stacji do Alhambry tonęła w świetle ogni bengalskich, a rakiety wyrzucały słupy ogniste ku niebu. Przeszło dwieście powozów towarzyszyło galowemu ekwipażowi poety, a niezliczony tłum tworzył szpaler.

Tydzień minął wśród różnych drobniejszych owacyj na cześć Zorilli a 21 zm. odbył się akt złożenia wielkiego hołdu publicznego. Wspaniałe aleje „salonu" Granady zostały na tę uroczystość z wielkim smakiem przybrane.

Wieszcz zajął miejsce pod czerwonym aksamitnym baldachimem ze złotemi galonami, przybranym w liście palmowe i różne alegorje, i tam czekał na przybycie uroczystego pochodu, który trwał przeszło trzy godziny. — W pięćdziesięciu oddziałach, przerywanych orkiestrami, przeciągały przed poetą władze, szkoły, cechy, stowarzyszenia, ciało konsularne, przedstawiciele licznych miast, a wszyscy stosownie do stanu, wykształcenia i majątku składali u stóp poety mniej lub więcej cenne wieńce i dzieła sztuki, wyrażając przytem cześć swoję bądźto w skromnych słowach, bądź w szumnych frazesach.

Głęboko wzruszony, ze łzami w oczach przyjmował Zorilla wszystkie te hołdy, jakie mu składał cały naród.

Właściwy akt koronacji odbył się 22 zm. w pałacu Karola V. — Początkowy zamiar ukoronowania poety w samej Alhambrze w sali „posłów" lub w sali „lwów" musiał zostać zaniechany z powodu ich zbyt małych rozmiarów. Natomiast obrano salę uroczystą w pałacu Karola V, która i obszernością i przepychem odpowiada w zupełności celowi.

Około godziny piątej po południu olbrzymia sala była do ostatniego zakątka przepełniona wyłącznie przedstawicielami najlepszych klas towarzystwa, a płeć piękna zgromadziła się bardzo licznie. Śród dźwięków muzyki wszedł pochód koronacyjny od strony Alhambry do sali uroczystej, przedstawiciel królowej zajął miejsce pod baldachimem. — Zorilla usiadł po prawej jego stronie. Potem zbliżyło się dwóch paziów, nieśli na bogatej poduszce złoty wieniec wawrzynowy, przeznaczony dla wieszcza przez „Liceo de Granada". Prezes hrabia de las Infantas śród przemowy wręczył wieniec księciu de Rivas, przedstawicielowi królowej, który dopełnił aktu koronacji, wygłosiwszy również poprzednio mowę.

Huragan oklasków towarzyszył koronacji, a powiększył się jeszcze, gdy drżący wieszcz wypowiedział podziękowanie.

Na zakończenie jeden z członków orszaku z Madrytu odczytał w najgorętszych słowach napisany list cesarza brazylijskiego.

Wieczorem odbył się koncert w tej samej sali, poczem wszystkie wieże i ruiny, cały las i Alhambra zajaśniały w ogniach bengalskich, przedstawiając czarodziejski widok, który pozostanie niezatarty w pamięci obecnych.

Tak Hiszpanja czci wieszczów swoich za życia.

Część ekonomiczna.

= **Dyrekcja** gal. Towarzystwa kredytowego ziemskiego ogłasza przepisy w sprawie wydawania deklaracji, zezwalających na podniesienie indemnizacyj propinacyjnych z tych dóbr ziemskich, które są obciążone pożyczką Towarzystwa.

Ogłoszenie mieści się w inseratowej części naszego dziennika.

Na zbożowym targu wiedeńskim nagła i znaczna podwyżka w cenach gotowego towaru doszła w ubiegły czwartek najwyższego punktu, a odtąd w ostatnich dwóch dniach przeszłego tygodnia ceny poczęły się cofać, chociaż równocześnie utrzymywała się dalej zwyżka w dostawach wiosennych. Powodem cofnięcia się ceny gotowego towaru było zaopatrzenie się konsumcji w zapasy, a oraz przeświadczenie, że chociaż niepomyślnemi są tegoroczne zbiory, to wszelako zapasy zeszłoroczne starczą na dłuższy czas ku zaspokojeniu potrzeb konsumcji. Zatrzymała się przeto przeważniejsza część konsumentów w robieniu zapasów, a gdy jednocześnie rolnicy w nadziei osiągnięcia później wyższych cen nie śpieszyli z sprzedażą swoich produktów, więc transakcje zeszły w końcu tygodnia do bardzo skromnych rozmiarów, lub odbywały się więcej nominalnie w dostawach terminowych.

Oto najwyższe i najniższe ceny wiedeńskiego targu z ubiegłego tygodnia:

Pszenica na jesień		8 48 — 8 99
„ „	wiosnę	9 00 — 9.58
Żyto na jesień		6.72 — 7 20
Owies „	„	6.32 — 6 70
Kukurudza	„	5.35 — 5 58

= **Zasiewy i zbiory w Poznańskiem.** Zbiory żyta w Poznańskiem już rozpoczęto. Żyto wydaje mało słomy, ale za to ziarno jest lepsze, niż dotąd sądzono. Wskutek ostatnich deszczów pszenica znacznie się poprawiła, ziemniaki zostały przez nie uratowane, za to jęczmieniom i owsom deszcze nic nie pomogły.

= **Zaraza pyskowa i racicowa.** Ze wsi nam piszą: —

Nie jeden mieszkaniec miasta czytając sprawozdania w dziennikach o chorobach zakaźnych u bydła, ubolewa zapewne nad losem wieśniaków, że do tylu klęsk w tym roku, jeszcze ta się przyłącza — a co więcej w nieświadomości swojej myśli czytając tak długi szereg miejscowości zarazą tą dotkniętych, że połowa naszego inwentarza w skutek tej słabości wyginęła. Serdecznie mu za to współczucie dziękujemy, a na pocieszenie to mu napisać możemy, że tak źle nie jest, z tej prostej przyczyny, że choroba ta śmiertelną nie jest — w rzadkich bowiem tylko wypadkach, i to tylko tam, gdzie się jakaś inna przyczyna przyłączy, kończy się śmiercią. Zwykły zaś przebieg tej zarazy jest taki, że chore bydle przez kilkanaście dni kuleje i toczy pianę z pyska, a po upływie tego czasu, bez żadnej nawet pomocy wraca do dawnego zdrowia.

Najprzykrzejszem jest to, że większej oborze trwa zaraza nieraz bardzo długo, z tego powodu, że nie wszystkie sztuki od razu ją dostają, i gdy jedne już się przechorowały, drugie dopiero chorować zaczynają. Dla uniknięcia tego najlepszym sposobem praktykowanym przez doświadczonych gospodarzy jest to, że skoro jedna sztuka ślinić zaczyna, smaruje się tą śliną, pyski wszystkim zdrowym sztukom, a w skutek tego cała stajnia odrazu słabość tę dostaje, i w jednym czasie przechorowuje się. To dobrowolne zarażanie zdrowych bydląt jest najlepszym dowodem, że słabość ta nie jest śmiertelną, w takim bowiem wypadku, każdy z nas wolałby chore zwierzę od zdrowych raczej odłączyć, jak zarażając zdrowe, przeznaczać je na śmierć nieochybną. Łatwo więc przyjść do wniosku, że „zaraza" ta nie jest tak straszną, jak raczej nieprzyjemną, a że stała się dla nas zabójczą, to tylko zbyt srogiej interpretacji ustawy zawdzięczyć musimy.

Ustawa powiada, że jeśli w powiecie jedna miejscowość pokaże się zakażoną, należy cały powiat uznać za zapowietrzony. Ile przez to strat ponoszą rolnicy nie trudno wykazać. Ustaje ruch w gorzelni, masz woły zdrowe, cóż kiedy o mil kilka w swoim powiecie jest „zaraza", więc wołów eksportować nie można; puszczasz je tedy jeśli masz ją na paszę, ale nadchodzi posucha, jeść nie masz co dać, woły chudną, i masz gotowy towar na przyszłą kampanję gorzelnianą, a kilkumiesięczny koszt i trud przepadł bezpowrotnie. Chłop znowu karmił wieprza, i chciał go sprzedać, lub jaką sztukę bydła, by w ten sposób zapłacić podatek, czy też ratować się na przednowku, lecz nadzieja spełzła na niczem, bo gdzie sprzeda, kiedy jarmarku nie ma, a w domu również nikt nie kupi, bo co z kupioną sztuką zrobić. Wiadomo dalej, że w dniu 24 czerwca o św. Janie kończy się rok gospodarczy, a więc zmiana dzierżaw. Ile ci nieszczęśliwcy, którzy w tym roku dzierżawę zmieniali, ponieśli również strat materjalnych przez te „zarazy", ilu z nich posprzedawało bydło za bezcen dla tego, iż przepędzać nie było wolno, a ci co sprzedać nie mogli, jak sobie poradzili, niech sami napiszą — ja podam wykręt, jakiego użył mój sąsiad izraelita. O św. Jana wziął nową dzierżawę o miedzę tylko od dawnej, lecz w innym powiecie. Pomimo, iż w żadnej z tych miejscowości zarazy nie było, lecz ponieważ oba powiaty uznane były za zapowietrzone, przeto bydła przepędzić nie mógł. Ustawa powiada jednak, że w obrębie powiatu choćby zapowietrzonego, przepęd bydła naturalnie zdrowego, jest dozwolony. Radzi sobie więc poczciwiec w ten sposób, że prosi o paszport do miejscowości w tym samym powiecie, gdzie ma jakiegoś familjanta, również jak on dzierżawcą, twierdząc, że ten obiecał mu do czasu ustania zarazy bydło przetrzymać.

Do miejscowości tej prowadzi jednak droga wprawdzie dalsza, lecz wygodniejsza przez miejsce nowej dzierżawy. Pędzi więc bydło tędy i tu... popasa, a popas ten trwa od 24 czerwca do dnia dzisiejszego.

Zapytuję przeto, czy nie mogłyby i nasze władze znaleźć coś w guście tego żydowskiego „popasu", by tę tak srogą ustawę złagodzić. Możeby i pp. weterynarze zrezygnowali z dyet i zrobili przedstawienie, że słabość ta nie potrzebuje koniecznie być podciągniętą pod nazwę „zarazy" i że, aby zapobiedz jej rozszerzaniu się, dość jest wyłączyć obszar nią dotknięty, albo co najwięcej oznaczyć jakiś pas kilkomilowy, a nie zamykać całych powiatów. Jakżebyśmy im wdzięczni byli i jakżebyśmy się cieszyli, że szkoła weterynarji, którą naszemi pieniędzmi utrzymujemy, na coś się nam przydała.

M. E.

Wiedeń 20 lipca.

(Z) Z Paryża wiał wczoraj wiatr zniżkowy, i osłabił donośnie notowania na giełdach środkowo-europejskich. Nie oparła się temu nasza targowica, posiadająca mało samodzielności, lecz nagła reakcja na targu zbożowym i usunięcie się w dół cen na termina wiosenne lub zimowe dodawała spekulacji otuchę, iż bilans ekonomiczny monarchji przecie nie wypadnie tak niepomyślnie, jak wróżono, i dawała bodźca do zawierania liczniejszych transakcyj po kursach zniżonych.

Obniżyły się one w całym materjale, więc w akcjach i rentach, a jedynie Länderbanki, silnie zakupywane przez jednego z paryskich spekulantów, zdobyły sobie znaczniejszą nadwyżkę.

Spadek wczorajszy wynadgrodzono sobie chociaż w części dzisiejszemi operacjami, bo chociaż Paryż nie ustawał iść w kierunku zniżkowym, to jednak zapanowało dziś w Berlinie lepsze usposobienie i udzieliło się naszej targowicy pieniężnej. Nawet wiadomość powołania do Warcinu nadwornego lekarza ks. Bismarka nie popsuła humoru nadsprejskiej spekulacji, bo tej wiadomości przeciwstawiano wieść o niebawem nastąpić mającej wizycie cara Aleksandra w Berlinie.

Wyrobiło się przeto dziś lepsze usposobienie, a chociaż ślady tego zbyt nieznacznie zaznaczyły się na kurszetlu, to jednak zyskaliśmy chociaż to, że obroniliśmy przed francuskim naciskiem nasze kursa i zamknęliśmy tydzień bez cofnięcia się w dół od notowań zeszłotygodniowych.

Oto notowania ostateczne z piątku i soboty:

kredyt. austr.	303·—	303 25
„ węg.	315·25	316·50
anglob.	124·—	123 75
uniony	225·25	225·—
bankv.	105 75	106·—
laenderb.	232·—	231.40
ludwiki	191 35	191·60
czerniowieckie	235 —	235·75
renta pap. wsp.	83 85	83·80
„ srebrna	84·65	84 70
austr. złota	109 85	109·70
5% austr.	99 75	99 75
węg. złota	99·35	99 95
5% węg.	95·—	95·15
Ruble	1 21—	1·21½

Telegramy „Przeglądu".

Budapeszt 21 lipca. W mieście Paks wybuchł wielki pożar. 400 domów spłonęło, między niemi koszary i szkoła ewangelicka. Wiele dzieci nie można odszukać.

Paryż 21 lipca. Manifest podpisany przez Boulangera, Dillona i Rochforta napisany jest w bardzo gwałtownym tonie. Nie chcą oni odpowiadać na oszczerstwa zawarte w akcie oskarżenia, zarzucają trybunałowi państwowemu, że starał się od zbrodniarzy kryminalnie zasądzonych wydobyć fałszywe zeznania i oczekują wyroku swego od wyborców.

Ateny 21 lipca. *Ajencja Havasa* donosi, że ludność mohametańska Krety z obawy przed powstaniem ucieka do miast nadbrzeżnych. W prowincji Rhetymnos spalili chrześcjanie mahometańską wieś, w prowincji Episkopi zaś zatrzymali w drodze mohametanów uciekających do miast. Przyszło do bójki, w której utraciło życie trzech mohametanów i jeden chrześcjanin.

Ostatnią mowę Salisburyego uważają tu jako zachęcenie Kreteńczyków do buntu.

Grac 22 lipca. W okręgach dotkniętych zmową panuje spokój. W Siebgraben i Münzenberg wrócili robotnicy do pracy. W kopalniach Towarzystwa górniczego wróciło 135 górników do pracy, u Draubego zaś wszyscy.

Ateny 22 lipca. Konsulowie wszystkich mocarstw udali się do przewódzców obradujących w Buzunario Kreteńczyków, przyrzekli im wyjednać u Porty odwołanie dotychczasowego gubernatora i wypełnienie najgłówniejszych żądań, przez nich w zażaleniu podniesionych. Wreszcie radzili konsulowie przewódzcom, aby w interesie Krety czuwali nad utrzymaniem spokoju i porządku. — Przewódzcy nie dali im jeszcze swej odpowiedzi.

Turcja wysyła wciąż posiłki wojskowe na Kretę.

Paryż 22 lipca. Król grecki przybył tu dziś w nocy.

Na dworcu przyjmował go Deljannis z całym personalem poselstwa greckiego.

Nadesłane.

Przyjechali do Lwowa

dnia 22 lipca 1889.

Hotel Zorża: M. hr. Cetner z Podkamienia. Z. hr. Mniszek z Podola ros. M. hr. Wolański z Panszówki. D. Amster z Czerniowiec. K. Kleyle z Żółkwi.

Hotel Europejski: Dr. W. Wilczopolski z Odesy. W. Radziński z Pohaczowa. A. Beck i J. Orłowicz z Czerniowiec. J. Szostakiewicz z Radomyśla.

K. hr. Ledóchowski z Wołynia. N. Mund z Wiednia. H. Czajkowski z Bóbrki. W. Filipowski z K cowa.

Hotel Angielski: A. Miłkowski z Bełza. J. Papara z Stroniatyna. J. Storfer z Kimpolung. J. Obanovich z Miłowania. M. Czyzda i T. Kowalski z Pomorzan.

Lwów. Z Izdy handlowej 22 lipca 1889.

1. Akcje za sztukę.

bez kuponu bieżącego bez dywidendy:	płacą	żądają
Kolej galic. Kar. Lud. 200 zł. m. k.	190 25	193 75
„ lwow.-czer.-jass. 200 zł w. a.	235 —	238 —
Banku hip. galic. 200 zł. w a.	277 —	281 —
„ kredyt. galic. 200 zł. w. a.	— —	216 —
2. Listy zastawne za 100 złr.		
Banku hyp. galic 5 prc w. n.	100 —	101 —
6% Listy zastaw. Galic. Zakładu kredytowego ziemskiego 36 let.	— —	— —
Banku hyp. galic 5 prc 10% pr.	103 —	104 —
Banku krajowego 4½% w a	97 75	98 75
Tow kred galic 5 „ „ „	100 80	101 80
„ „ „ 4 „ „ „	96 —	97 —
„ „ „ 5 „ „ „	100 80	101 80
„ „ „ 4 „ „ „	93 80	94 80
„ „ „ 4½% „ „	98 75	99 75
„ „ „ 4% „ „	92 80	93 80
3. Listy dłużne za 100 złr		
G. Z. kr. wł (d) 6%) 3% w likw	57 50	59 —
„ „ „ „ (d) 5%) 2½%	48 —	50 —
4. Obligi za 100 złr.		
Indemnizacyjne galic 5 prc m. k.	104 45	105 45
Kom banku kraj 5 prc w. a I. em.	100 50	101 50
Pożyczka kraj z r 1873 6 prc w. a.	104 —	106 —
„ 1883 4½%	96 50	97 50
5. Losy		
Losy miasta Krakowa	24 —	26 —
„ „ Stanisławowa	— —	38 —
6. Monety.		
Dukat holenderski	5.57	5.67
Dukat cesarski	5.61	5.71
Napoleondor	9.45	9 55 —
Półimperjał rosyjski	9.70	9 80
Rubel rosyjski srebrny	1·36	1·48
„ papierowy	1 21 —	— 1 23 —
100 marek niemieckich	58 10	59·10

Telegram giełdowy.

Wiedeń dnia 22 lipca godz. 1. min. 45.

Akcje kredyt	303·85	Węg. kolej półn. wschodn.	187·50
Alpiny	66 —	Wiedeńskie losy kom.	144·—
Kredyty węg.	317 25	Akcje yton.	109·75
Anglobanki	124·20	Gal. obl. indem.	104·75
Uniony	225·—	Elbethale	214·—
Ludwiki	192 25	Länderbanki	231·60
Nordbahny	253 —	Renta zł. węg.	100 —
Lombardy	120·65	Bankvereiny	106·—
Losy tureckie	30 50	Renta węg. pap.	95 20
Staatsbahny	222·50	Ruble	1·22·25
Czerniowieckie	235·50		

Usposobienie silne.

Pociągi kolejowe.

podług zegaru lwowskiego.

Przychodzą do Lwowa:

Z KRAKOWA:	o godz. 8 m. 50 rano	poc. osob.
	„ 4 „ 8 po poł.	„ kurj.
	„ 7 „ 15 wieczór	„ mięs.
	„ 9 „ 28 „	„ osob.
Z PODWOŁOCZYSK (na dworzec główny lwowski):	o godz. 8 m. 15 w nocy	poc. mięs.
	„ 2 „ 20 po poł.	„ kurj.
	„ 7 „ — wieczór	„ mięs.
Z PODWOŁOCZYSK: (na dworzec Podzamcze):	o godz. 2 m. 38 w nocy	poc. mięs.
	„ 2 „ 8 po poł.	„ kurj.
	„ 6 „ 22 wieczór	„ mięs.
ZE STRYJA	o godz. 12 m. 08 w nocy	poc. osob.
	„ 8 „ 26 rano	„ „
	„ 8 „ 36 po poł.	„ „
Z CZERNIOWIEC:	o godz. 6 m. 40 rano	poc. mięs.
	„ 8 „ — wieczór	„ posp.
	„ 11 „ 6 „	„ mięs.
Z BEŁZCA:	o godz. 5 m. 58 po poł.	poc. mięs.

Odchodzą ze Lwowa:

DO KRAKOWA:	o godz. 4 m. 20 rano	poc. osob.
	„ 7 „ 20 rano	„ „
	„ 2 „ 28 po poł.	„ kurj.
	„ 8 „ 30 wieczór	„ osob.
Do ZIMNEJ WODY-RUDNO:	o godz. 4 m. 20 po pop.	poc. osob.
DO PODWOŁOCZYSK (z głównego dworca):	o godz. 9 m. 52 pr. poł.	poc. mięs.
	„ 4 „ 11 po poł.	„ kurj.
	„ 10 „ 35 wieczór	„ mięs.
DO PODWOŁOCZYSK (z dworca Podzamcze:)	o godz. 10 m. 28 przed poł.	„ mięs.
	„ 4 „ 22 po poł.	„ kurj.
	„ 10 „ 5 w nocy	„ mięs.
DO CZERNIOWIEC:	„ 9 „ 20 przedpoł.	„ posp.
	„ 9 „ 50 przed poł.	„ mięs.
	„ 10 „ 8 wieczór	„ mięs.
DO BEŁZCA:	„ 7 „ 49 rano	„ mięs.
DO STRYJA:	„ 5 „ 50 rano	„ osob.
	„ 10 „ 20 przed poł.	„ „
	„ 8 „ 45 wieczór	„ „

189)

OFIARA FATALIZMU.

POWIEŚĆ

Ksawerego de Montépin.

(Ciąg dalszy).

— Przewybornie, — zadecydował urzędnik. — Nie pozostaje mi nic nad zredagowanie protokołu, który panowie podpiszecie obadwaj.. Następnie zabierzemy się do przeszukania tylnego dziedzińca. Siła zbrojna strzeże w tej chwili wszystkich wyjść i może uda nam się znaleźć jeszcze tego zuchwałego łotra, którego zbrodnicze zamysły nie powiodły się, dzięki widocznej łasce Opatrzności...

XXXI.

Ciąg dalszy i koniec rozwiązania drugiego pomysłu Gontrana.

Niebawem zapalono kilka świec, sekretarz komisarza zasiadł przed stolikiem i począł pisać na arkuszach stemplowego papieru zeznanie wszystkich okoliczności kradzieży popełnionej tej nocy z włamaniem i wtargnięciem do zamieszkałego domu; najmniejsze szczegóły opowiadania pana Polart były jak najdokładniej powtórzone w protokole.

Kiedy tak komisarz policji przysparzał roboty sędziemu śledczemu, a Gontran wciąż jeszcze nieporuszony siedział jak przybity na swem krześle, zadając sobie pytanie czy czasem nie śni, baron nie pozostał bezczynnym.

Ze sprzętu wyłamanego przez wicehrabiego, wyjął kopertę wielkich rozmiarów, w którą włożył kilka papierów. Zapieczętował ją pięcin pieczęciami i na każdej z nich przyłożył sygnet herbowy.

Potem na tej kopercie nakreślił kilka wierszy pismem cienkiem a ścisłem i pod ostatnim wierszem podpisał nazwisko.

Zrobiwszy to, oczekiwał spokojnie na ukończenie protokołu.

Od czasu do czasu rzucał spojrzenie na Gontrana i uśmiechał się z jakimś nieokreślonym wyrazem, widząc przygnębienie młodego człowieka.

Tak przeszedł kwandrans może; wreszcie urzędowy akt został ukończony, odczytany głośno i wyraźnie a nakoniec podpisany.

— A teraz, panowie — ozwał się komisarz policji, — zejdziemy i rozpoczną się poszukiwania.

Zamierzał opuścić już mieszkanie, ale baron powstrzymał go nagle.

— Jakkolwiek może niedyskretną będzie moja prośba, — przemówił, — ośmielę się jednak prosić pana o oddanie mi pewnej przysługi...

— Przysługi? — powtórzył ze zdziwieniem urzędnik.

— Tak, panie, i to przysługi niezmiernej ważnej.

— O cóż to chodzi?

— O to...— odpowiedział baron, ukazując zapieczętowaną kopertę, którą trzymał w ręku.

— Nie rozumiem pana.

— Natychmiast będę miał zaszczyt wytłómaczyć panu, czego to sobie życzę... Papiery, które zawiera w sobie ta koperta, są dla mnie czemś więcej niż majątek... Zależy mi na nich, jak mi zależy na życiu... Otóż miałem przed chwilą niezbity dowód, że papiery te nie są całkowicie pewne w hotelowym numerze... Opryszek, który przed chwilą wyłamał to biurko, mógł je był zabrać, ani domyśliwszy się nawet ich wartości i owinąć w nie rulon dwudziestofrankówek, jak w kawałek starej gazety. Wzywam przeto całej uprzejmości pańskiej i zaklinam pana, abyś raczył łaskawie podjąć się przechowania w bezpiecznem miejscu tej koperty. Odjeżdżając stąd, zgłoszę się o jej zwrot do pana.

— Ależ, — ozwał się komisarz z niejakiem wahaniem, — czyż depozyt ten nie byłby na właściwem miejscu w rękach notarjusza?

— Nie, panie i wierzaj mi, bo na to daję panu słowo honoru, że jedynie właściwe dla tych papierów miejsce jest u pana.

— Niechże więc tak będzie — odpowiedział urzędnik po chwili wahania jeszcze; — przykroby mi było odmawiać człowiekowi tak uprzejmemu jak pan. Postąpię zupełnie zgodnie z pańskiem życzeniem. Daj mi pan tę kopertę, przyjmuję ją jako depozyt.

Baron począł się wylewać w podziękach:

— Pozwól mi pan zwrócić swą uwagę na te kilka wierszy, które nakreśliłem na powierzchniej panu kopercie:

Komisarz policji odczytał głośno;

„Na wypadek gdybym miał umrzeć nagłą śmiercią — zbrodniczą czy przypadkową — proszę szanowne władze o złamanie pięciu pieczęci, które zamykają niniejszy depozyt. Oprócz tego upraszam o poznajomienie się z treścią papierów opieczętowanych.

„Głos sumienia wskaże urzędowi w takim razie, jaki z nich ma zrobić użytek."

Spodem była data i podpis.

— Dobrze, panie — odpowiedział komisarz — w razie takiego wypadku (od czego niechaj pana Bóg chroni) zastosuję się święcie do pańskiego żądania.

— A, panie — zawołał baron — pańska dobroć i uprzejmość urzeczywistnia wszystkie moje nadzieje! Nie, nigdy, nigdy nie będę umiał podziękować panu dość godnie za to, co łaskawie czynisz dla mnie.

Urzędnikowi pilno było uwolnić się coprędzej od tej wdzięczności.

Wsunął kopertę do bocznej kieszeni swego munduru i opuścił mieszkanie w towarzystwie kaprala i czterech żołnierzy od piechoty, do których przyłączyło się jeszcze pięciu czy też sześciu żandarmów.

Nie mamy zamiaru ciągnąć czytelnika żeby asystował zarządzonym przeszukiwaniom stajen, wozowni, szop.

Byłoby to dla nich nieciekawem, albowiem dobrze wiedzą, że policja, chociaż tak zręczna, nie umiałaby żadną miarą wykryć kogoś wcale nieistniejącego.

Baron de Polart postarał się jeszcze o to, żeby komisarzowi dać wysoce fantastyczny rysopis, tak dokładny i tak charakterystyczny, że nie mógłby odważyć się na skompromitowanie niewinnego.

Ponieważ tylne podwórze miało kilkoro drzwi wychodzących na ulicę, a ponieważ jedne z nich zamknięte były tylko na zasuwkę, przypuszczono oczywiście, że złodziej uciekł tamtędy, zanim drzwi obstawiono z zewnątrz.

Prokurator królewski, musimy tu dodać mimochodem, rozesłał brygady żandarmerji z miasta i okolicy a imaginacyjny rysopis złoczyńcy kursował wszędzie.

Skoro tylko bezowocne przetrząsanie budynków się skończyło, baron Polart ujął ramię wicehrabiego Presles i poprowadził go teraz już do opustoszałego mieszkania.

— A zatem, kochany przyjacielu, — rzekł mu — co o tem wszystkiem myślisz?... Widziałeś mnie przed chwilą, jak umiem zabierać się do roboty. Czyż istotnie uważałbyś, że masz dość siły do podjęcia walki zemną i pokonania mnie równą bronią?

— Czy chcesz pan, abym mówił otwarcie? — wyszeptał Gontran, który dotąd jeszcze nie przyszedł do siebie i nie ochłonął z emocji, przez które przeszedł.

— Ależ spodziewam się, że chcę! — zawołał baron. — Z wszystkiego na tym świecie szczerość jest najrzadszą rzeczą.. a ja przepadam za tem wszystkiem, co jest rzadkością.

— A więc szczerą jest prawdą, że nie rozumiem dokładnie tego, co pan robisz i mówisz od godziny...

— Pan nie rozumiesz?

— Nie.

— To niepodobieństwo!

— A przecież to najszczersza prawda.

— W tym wypadku, mój kochany wicehrabio, konstatuję z przykrością, że dzisiejszego wieczora nie cieszysz się pan całkowitą pełnią twych władz umysłowych... Nakoniec zobaczymy cóż to wydaje się panu niejasnem w mojem postępowaniu?

— Wszystko.

— To nieco niewyraźnie... Określ pan cokolwiek bliżej.

— Naprzód dla czego wołałeś pan, aby łapano złodzieja, zwołałeś cały dom, posłałeś po gwardję, żandarmów, komisarza?

— Pan mnie pytasz dla czego?

— Tak. Na cóż to mogło się przydać, skoro byłeś pan zdecydowany nie gubić mnie?

— O! głowo bez mózgu! toć właśnie na to przecie robiłem, abyś pan nie był zgubiony!... Nikt prócz pana nie wchodził do mego mieszkania, moje biurko znajdowało się w stanie ot takim. Jakimże sposobem wytłómaczyć i upozorować to włamanie w sposób prawdopodobny, gdybym nie był oświadczył, że pochwyciliśmy złodzieja na gorącym uczynku?... Podwójne nasze zeznanie tylko było jedynym sposobem zapobiegnięcia dochodzeniu, które byłoby wykazało jaknajdowodniej, że złodziej, jak niebądź wielkimiby była jego zręczność i zuchwalstwo, nie mógł bez pomocy drabiny dostać się od dachu szopy do okna. Siłą faktów przeto podejrzenie byłoby padło na pana, kiedy tymczasem opowieść moja przetworzyła pana w prawdziwego bohatera... Czyliż nie postąpiłem sobie wedle najściślejszej ewangielicznej moralności, płacąc dobrem za złe? Pan chciałeś mnie obedrzeć a ja pana sławię! Wszakżem kolosem cnoty!

Baron Polart wymówił ostatnie słowa ze śmiechem

Gontran próbował uśmiechnąć się również, ale pobladłe jego wargi skrzywiły się tylko z dziwną goryczą.

— To nie wszystko jeszcze — rzekł wreszcie.

— Cóż więc jeszcze?

— Ta koperta zapieczętowana pięcioma pieczęciami i wręczona przez pana komisarzowi policji.

— A! a! — zawołał baron z nowym wybuchem śmiechu, — zdaje się, że koperta pana zajmuje..

— Przynajmniej podnieca moję ciekawość.

(C. d. n.)

Odpowiedzialny redaktor: **Ludwik Masłowski** Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Białej. Z drukarni nar. Manieckiego. — Zarządzca Walenty Hodak.